Brückner Al.

Dawne romanse i powieści polskie

(Bibl. Warsz. 1901, II, czerwiec)

Dawne powieści i romanse polskie.

SZKIC LITERACKI.

I.

Niezbyt odległe to czasy, kiedy romans i powieść, które dziś piśmiennictwem pięknem zawładnęły zupełnie, dla tego piśmiennictwa wcale jeszcze nie istniały, kiedy sama estetyka, wzorująca się na Arystotelesowej, a więc nie znająca romansów, nie wiedziała też, co z tym mieszańcem począć właściwie, gdzie go umieścić, to jest jakie mu przepisy narzucić. I powiedziano sobie, że romans, to epos w prozie, że powstał z rozkładu materyi wierszowanej, że podpada więc pod reguły epickie, wymagające nadludzkich bohaterów, cudownej akcyi, sentymentów heroicznych.

Definicya ta i przepisy są słuszne, skoro je ograniczamy do romansów średniowiecznych. Istotnie bowiem, gdy samo rycerstwo z ideałami swemi dogorywało, podniecano tęsknotę za zanikającym światem, rojenia o jego blasku i dzielności, zachwyty nad jego złudnym urokiem, wskrzeszaniem pomników literackich, jakie świat ten niegdyś wydał. Ale chansons de geste same straciły już powab, prze-

starzał się ich język i forma; więc odnawiając je, wiersze prozą zastępowano; tak powstał romans i powieść rycerska—innych na razie nie było. Nowa formą znalazła poklask; poezya — i to jest walny krok w rozwoju literatur europejskich—ustąpiła przed prozą nareszcie i na tem polu, na którem do niedawna jeszcze panowała wyłącznie. Ze zmienioną formą jednak nie zmieniło się na razie samo przeznaczenie, służba, utworów powieściowych. Dzisiaj każda książka zwraca się wyłącznie do czytelnika, gdy dawniej tylko traktat uczony z nim się liczył, każda zaś inna rzecz literacka nie czytelnika, lecz słuchaczy oczekiwała. Nikt nie czytywał dla siebie, czytano głośno dla wielu, dla całego kółka. Stałe więc zwroty po dziełach dawnych: słyszcie starzy, słyszcie młodzi, lub naprzykład:

wszytcy ludzie posłuchajcie...
przykład o tem chcę powiedzieć,
słuchaj tego, kto chce wiedzieć
i t. p.

to nie frazesy, sposoby mówienia, przenośnie, lecz istotna treść rzeczy, sam jej stosunek. Marcin Bielski daje naprzykład w roku 1537 komedyę w różnych miarach, i ostrzega o tem „czytelnika“, aby wedle miary wiersze czytał, gdyż „złem czytaniem dobry wiersz zepsuje“ — naturalnie czytaniem głośnem, i mówi do swych wierszy:

dobre rzeczy powiadajcie...
nie dajcie się czytać skrycie...
który pismo waży lekce,
czytających słuchać nie chce
i t. d.

Jeszcze w półtora wieku później upraszał bajkopisarz Niemirycz podobnie czytelnika, aby wierszy czytaniem nie psuł. Dziś zaś czytamy wszyscy „skrycie“, każdy dla siebie, nawet wiersze, i już ich nie psujemy, za to i harmonii ich nieraz nie odczuwamy należycie.

Inna różnica między dziś a wczoraj występuje jeszcze dobitniej. Biorąc powieść do rąk, po kilku wierszach poznajemy, choćby tego na tytule nie wyrażono, dla kogo powieść przeznaczona, dla ludu, czy

dla wykształconych, dla dojrzałych, czy dla dzieci, dla chłopców, czy dziewcząt, gdyż tylko jedną księgę mamy wszyscy wspólną, Ewangielię. Dawniej żadnego takiego dzielenia (prócz jedynego: dla uczonych i dla laików) wcale nie znano; więc księgi, które jeszcze w połowie XV wieku książę lub hrabina dla siebie pisać, lub przekładać kazali, spadały w ciągu niespełna wieku aż na sam spód społeczeństwa, czytali je wszyscy piśmienni, na zamku, w warsztacie, na prządkach, i tak zeszły romanse i powieści rycerskie z grodów pod strzechy; przejście to umożliwił i ułatwił niesłychanie wynalazek Gutenberga, największy, najistotniejszy popularyzator na świecie.

Obok tak wybitnych różnic są jednak i podobieństwa, nie mniej znamienne. I tak datuje już od XV-go wieku przewaga Francyi na polu belletrystyki prozą, jak niegdyś poezyą epiczną Francya górowała. Jak z niewyczerpanego skarbca francusko-normandzkiej tradycyi czerpali Niemcy, Hiszpanie i Włosi od XII i XIII-go wieku, tak rozpoczął się w XV nowy świetny pochód prozaicznej powieści francuskiej, torującej sobie drogę w licznych przekładach i przeróbkach aż do Azyi; co my „powieścią ludową“ nazywamy, wyszło w najpiękniejszych swych okazach z roskosznej Prowancyi, z żyżnego Poitou, z przemyślnej Normandyi, i spłacił Zachód, czem się niegdyś od Wschodu zapożyczył. Otóż o tych powieściach, które i nasz romans polski wykołysały, które przez całe wieki karm umysłową warstw najszerszych stanowiły, pomówimy, ograniczając szkic nasz do czasów najdawniejszych, do XVI i XVII wieku, a nawiązując do tego, cośmy o jednej kategoryi tej powieści ludowej poprzednio [1]) skreślili.

Sowizdrzał i Marchołt, wraz z Ezopem, owym figlarzem średniowiecznym pod maszkarą starożytną, przedstawiają tylko jedną stronę życia średniówiecznego, rubaszną, plugawą niemal, przedrzeźniającą świętość biblijną i mądrość świecką w imię prawdy brukowej, szydzącą z bliźniego, z jego nieopatrzności, zarozumiałości, słabości.

Z tą przebiegłą prostotą Sancho Pansów kłóciła się dziwnie wyniosłość, awanturniczość, rycerskość ich panów, odbita w nieskończonych opowiadaniach o idealnych rycerzach Okrągłego Stołu i dworu Karolowego, zwalczających potwory, pogany, rywale, szukających Gralu, czy Grobu świętego, wzywających świat cały do hołdów dla bogdanki, kruszących niezliczone kopie w jej imię i odbierających w zachwyceniu najwyższem podwiązkę z rąk Dulcynei. Tego-to życia

[1]) Por. „Bibliotekę Warszawską“ zeszyt listopadowy, rok 1900, str. 201 — 244.

rycerskiego, uświetnianego przez trubadurów i minnesängerów, nie zaznała jeszcze daleka, uboga, szaraczkowa Polska XII i XIII wieku; gdy zaś zupełnie na tory europejskie wkroczyła, wybiła była już dawno ostatnia godzina owego dziwnego, fantastycznego, idealnego życia nawet we Francyi i Niemczech, nie mówiąc o Włoszech, gdzie się ono właściwie nigdy nie przyjęło należycie. Mimo to nie uszła i Polska zarazie i manii ksiąg rycerskich, które zwalczali we Włoszech liczni parodyści (od Pulci do Folengo), we Francyi Rabelais, a w Hiszpanii Cervantes; wprawdzie, wobec braku gruntu odpowiedniego, nie dorosły one u nas potwornych rozmiarów obczyzny, nie zaznano u nas owych Tristanów, Lancelotów i Parsiwalów, Amadysów i Rolandów, ani trzeba było aktów parlamentu, czy zakazów władz przeciw drukowaniu, a biczów satyry na czytelników; mimo to wyrzuciły fale literatury rycerskiej i na daleki brzeg polski jedną i drugą jej perłę.

Do pereł takich należy romans o Meluzynie, najmłodsza niemal, a najsłynniejsza ze wszystkich tych powieści, najciekawsza zarazem, dla licznych jej przeróbek, dramatycznych i epickich, dla tłómaczeń, badań, nawet dociekających pierwotnej jej osnowy i znaczenia. Nam dziś „Meluzyna“ czczym dźwiękiem została, lecz nie zapominajmy, że ją Warszawa w herbie nosi; że w zeszłem stuleciu nie było ani podsędka, ani panny z fraucymeru, którzy-by „Historyi o szlachetnej a pięknej Meluzynie nie czytali, że i postać, i imię jej dostały się do tradycyi ludowej, czeskiej i ukraińskiej; że Ruś moskiewska, przebierająca w powieściach polskich, odrzucająca Marchołta i Sowizdrzała, Meluzyny się oburącz ujęła. W jej ojczyźnie zaś, we Francyi zachodniej, wywodziły się domy Lusignan'ów, Rohan'ów i Parthenay'ów od Meluzyny, a wieżę jej w zamku Lusignańskim dopiero w XVII wieku rozebrano; dziś jeszcze miesięcznikowi dla „folkloru“ (literatury ludoznawczej, jak nasza „Wisła“) nazwę „Meluzyny“ nadano. Ale i poza Francyą, w Niemczech naprzykład, romans ten nadzwyczajną zyskał popularność, gdy go na żądanie Margrabiego Rudolfa p. Thuring von Ringoltingen roku 1456 przetłómaczył: tłómaczenie jego wyszło nawet wcześniej w druku (rok 1474), niż oryginał francuski. Nie wspominamy o późniejszych wydaniach, bo i któżby na świecie zdołał je wyliczyć. Meluzyna, to najbardziej typowy okaz owych „Volksbuchów“, drukowanych bez wyrażenia miejsca i nakładcy, jakby zażenowanych, zawsze „tego roku“, sprzedawanych po najobskurniejszych kramikach, czytanych, nie wiedzieć przez kogo, a rozchodzących się w tysiącach egzemplarzy, jak żadna inna książka na świecie, ani biblia i katechizm nawet. Nie wspominamy tu, z obawy przewlekłości, o najrozmaitszych jej przeróbkach, począw-

szy od Hans Sachsa aż do Tiecka, Grilparzera i późniejszych; o malarzach (Schwind cykl obrazów jej poświęcił), o cytatach „Meluzyny przy zdroju“, które i w Werterze Goetego odnajdziemy. A cóż powiedzieć o badaniach umiejętnych, odnajdujących w Meluzynie indyjską Miluszę i fenicką Melitę, bóstwo wodne czy nadpowietrzne, rodzoną siostrę naszej Wandy, albo też panią de Chabot, zmarłą w roku 1229. Między temi badaniami wyróżnijmy, prócz pracy doktorskiej pani Nowakowej, pracę znakomitego jurysty, etnologa i poety, Koblera (berlińskiego), który, zachwycony Meluzyną, ślady jawne totemizmu i matryarchatu w niej odszukał, na czoło wszystkich tradycyi świata ją wystawił i najgłębszych związków z najpierwszem zaraniem ludzkości w niej się dopatrzył.

Nam przetłómaczył „Meluzynę“ z niemieckiego Marcin Siennik, czyli Heuwrecher, znany kompilator, r. 1569 w Krakowie, niemiecki bowiem tekst stanowił zawsze fazę przejściową dla tłómaczeń czeskich, duńskich, szwedzkich itd.; polskie tłómaczenie przeszło znowu do Rusi moskiewskiej, naprzykład w roku 1677 „Istorija błahoprijatnaja o błahorodnoj i prekrasnoj Meluzinie i t. d.“; polskie druki posiadamy dziś późne, dopiero z lat 1671, 1763, 1768, 1769 i t. d., wcześniejsze zaginęły bezpowrotnie.

„Meluzyna“ zbudowana, mimo całej swej krótkości, równie nieforemnie, jak Amadysy w XVI, a w XIX wieku niektóre romanse Dumasa i innych; mieszcząc bowiem historyę dwóch pokoleń, niby jakie „Dwadzieścia lat później“, mogła-by dać się przedłużać i na następne pokolenia. Oto co stanowi jej treść. Młody hrabia Rajmund zabił na łowach nieszczęśliwym trafem stryja, opiekuna i pana swego, hr. Emeryka z Poitiers; zrozpaczony, tułając się nocą w borze głębokim, gdzie go oczy poniosą, przystanął nad „Zdrojem pragnących“, pod skałą, gdzie najpiękniejsza dziewica, czekając nań z całym swym fraucymerem, zdziwionemu oznajmiła, że, jeśli ją poślubi, dojdzie potęgi i bogactw, pod jedynym warunkiem, aby na każdy dzień sobotni, skoro się pobiorą, nigdy jej nie szukał, ani podpatrywał, jeśli nie chce jej i szczęścia stracić na zawsze. Gdy Rajmund to zaprzysiągł, kazała mu wrócić do Poitiers, udać, że o śmierci Emerycha nic nie wie, potem od syna Emerychowego za służbę długoletnią żądać tylko tyle ziemi około Zdroju Pragnących, ile-by skórą jelenią przykrył, którą miał na cienkie rzemienie pokrajać. Była to Meluzyna, a Zdrój Pragnących miejsce, gdzie „złe mieszkało i mamiło“, jak ludzie okoliczni powiadali.

Rajmund, otrzymawszy na wieczystą własność ziemię około zdroju, odwiedził tam Meluzynę, wychodzącą z kaplicy,—bo ta teraz i dwór jej liczny stały się widocznemi na zawsze, — i umówili dzień

ślubu, na który hrabinę wdowę z synem Bertramem i sąsiadów zaproszono; podejmowała ich Meluzyna z niesłychanym przepychem w namiotach w lesie. Po odprawionem weselu, kazała natychmiast Meluzyna zamek warowny budować, a około niego miasto; w zamek wmurowano Zdrój Pragnących, uczyniwszy nad nim „sklep warowny, gdzie Meluzyna swe zawarcie miewała czasu sobotniego, bo tam w nim zwykła swe kąpanie miewać, nikomu się nie dając widzieć“. Od jej nazwiska nazwano zamek i miasto „Lozaną“ (zamiast Lusignan!).

Upływały lata Rajmundowi i Meluzynie w największem szczęściu; dokupywali ziemi, budowali zamki, a synów przybywało im co rok, wszyscy dzielni i mężni, lecz każdy z nich dziwnie nacechowany, jeden o trzech oczach, drugi o jednem oku wśród czoła, trzeci z kłem wieprzowym i t. d. Gdy dorastali, wypychała ich żądza sławy i czynów z domu, a rodzice wyprawiali ich bogato i błogosławili na drogę. Wyruszyli najpierw najstarszy, Uryon (Uriens) i trzeci, Gijon (Guiot); wyprawili się z La Rochelli galerą do Cypru, gdzie właśnie „żołdan“ egipski Famagostę oblegał; odsiecz ich przybyła w sam czas, gdyż poganie, zraniwszy króla cypryjskiego strzałą jadowitą, byli-by opanowali miasto, gdyby nie szalone męstwo Uryona i Gijona, którzy i żołdana zablli, i zastępy jego rozgromili, i skarby obozowe posiedli. W nagrodę za ten czyn oddał umierający król państwo i rękę jedynej dziedziczki, córki swej, Herminy, Uryonowi; Gijon otrzymał niebawem królestwo ormiańskie, osierocone śmiercią brata króla cypryjskiego, gdyż panowie radni, słysząc o waleczności Gijona, wyswatali za niego dziedziczkę ormiańską, Florę. Za starszymi opuścili dwaj inni synowie, Reinhard i Antoni, dom rodzicielski, i uzyskali w podobny sposób, zwalczając nieprzyjaciół, jeden księstwo luksenburskie, a drugi królestwo czeskie z rękami ich dziedziczek; pod Pragą powtórzyło się niemal to samo, cośmy już na Cyprze widzieli: zbyt wiele urozmaicenia bowiem wyprawy podobne nie dopuszczały.

Szósty i siódmy syn poszli jednak koleją odmienną; „Gofroj z kłem“ był najsroższym z ludzi, nieukróconym w gniewie, lecz w zamian za to najsilniejszym i najmężniejszym, i nie z ludźmi, lecz z olbrzymami wojował; Fraimund zaś obrał stan mniszy.

Jednej soboty przyjechał do Lusignan starszy brat Rajmunda, który właśnie po zejściu ojca hrabstwa „podlaskie“ (Forest) był objął; przyjął go gościnnie Rajmund, lecz bez Meluzyny, jako w dzień sobotni. Odwiódł go brat na osobność i zaczął mu przedstawiać, że Meluzyna co sobotę pełni niewiarę z kimś innym, od którego te bogactwa posiada; trudnoż nawet wierzyć, żeby jej dzieci były własne

Rajmondowe; niech się więc przekona naocznie, niech się nie da więcej błaźnić i zwodzić. Rajmund, uniesiony gniewem, rzucił się do wieży Meluzyny i przez szczelinę ujrzał żonę w kąpieli, po pas w zwykłej postaci, a od pasa z ogonem smoczym, czy rybim, mieniącym się, jak wężowy. Oprzytomniał; w serdecznym żalu za wiarołomstwo wybuchł srogim gniewem na kusiciela brata, który natychmiast uchodzić musiał; sam zaniemógł, i tylko pieszczoty Meluzyny, która wiarołomstwo milcząc przebaczyła na razie, do zdrowia go wróciły.

Strapiły go bardzo „obłóczyny" syna Frajmunda, i doniósł on o nich Gofrojowi, który, pokonawszy właśnie w Normandyi strasznego olbrzyma, wybierał się w drugą podobną ekspedycyę do Norwegii. Na list ojcowski zakipiał gniewem; miałżeby brat własny zdradzić zakon rycerski, aby wstąpić do mniszego, w tak rycerskim rodzie miał-by się znaleźć taki zbabiały wyrodek! — Pisze ojciec, że on do wielkiej dostojności duchownej dojdzie, oj, wywyższęć ja go i z tymi mnichami! Wyruszył więc do klasztoru, zwołał mnichów, oskarżył ich, że uwiedli mu brata na własne próżnowanie i łotrowstwo, i cały klasztor z bratem i stu mnichami spalił. I on żałował po niewczasie [1]), tem rychlej za to wyruszył przeciw norweskiemu olbrzymowi, Grimoldowi.

Rajmund rozpaczał nad zbrodnią Gofrojową, a gdy Meluzyna obojętniej ją przyjmowała i z orszakiem panów i pań cieszyć go przystąpiła, wywarł on żal swój nad nią: „o niecnotliwy robaczy [2]) narodzie, — zawołał on, — byś ty prawym człowiekiem, a nie obłudą była, nie życzyła-byś takiej okrutnej śmierci tylu świętym osobom i własnej krwi, którzy poginęli przez ten niecnotliwy zębaty rodzaj, w którego zwycięstwie sobie podobasz". Wyjawieniem tajemnicy przed wszystkimi zelżona Meluzyna, zemdlała; ocucona, czyniła wyrzuty Rajmundowi, niewdzięcznikowi. „Związek nasz zerwany, nigdy mnie więcej nie oglądasz; tylko gdy Lusignan nowego pana będzie miał otrzymać, trzykroć go (w piątek, przed zgonem starego dziedzica) oblecę, kwiląc żałośnie—(stąd urosło podobne podanie o Wandzie krakowskiej); mnichów nie żałujcie, sam Bóg miał ich za występki i nie-

---

[1]) Z takich-to czynów urosła owa sława o „Gofroju", naprzykład w Morokozmeach babińskich J. A. Kmity z roku 1617: kto z męstwa się chwalił nielada jakiego (wołu pięścią naprzykład tak uderzał, że mu ręka przez wołu przechodziła), temu polne hetmaństwo dawano i od takiego męstwa Gofrojem go zwano. Albo w „Poselstwie z dzikich pól" r. 1606 czytamy o Gofrojach, u których błędy więcej popłacają, niż zasługi i t. d.

[2]) Niemieckie „Wurm" robaka i smoka oznacza.

cnoty gromem porazić; Gofroj wystawi większy klasztor i osadzi go lepszymi“.—Poczem wskoczyła na okno, wzbiła się w powietrze, opadły jej szaty i okazał się długi ogon smoczy, zwężający się stopniowo. Nigdy jej więcej Rajmund nie obaczył i straty tej przeboleć nie mógł; ona jeszcze nocą przylatywała, aby karmić najmłodsze swe dziatki, Dytrycha i Rajmunda, którzy potem na mielkich rycerzy urośli.

Gofroj tymczasem po wielkich trudach zabił w Norwegii owego olbrzyma, który w swej jaskini, rozszerzającej się w wielki zamek, skarby i ludzi więził; w jednym z gmachów ujrzał on grobowiec króla Helmesa z napisem, objaśniającym całą tajemnicę Meluzyny. Król Helmes ślubował był żonie, że jej w połogu nie nawiedzi, lecz gdy ona mu same córki rodziła, on przysięgę złamał i wdarł się do położnicy, aby ją ofuknąć; wskutek tego uniosła ją moc jakaś do owej jaskini, wraz z jej trzema córkami. Najmłodsza z nich, Meluzyna, namówiła obie starsze, aby matkę pomściły; wszystkie uniosły ojca do owej jaskini, gdzie on i skonał. Tę srogość własnych córek musiała znowu matka skarać; przeklęła więc Meluzynę, by co sobotę w ową potworę z ogonem smoczym się przemieniała, mając potworą zostać aż do sądnego dnia, gdyby ją mąż jej przyszły tak ujrzał i innym to wyjawił; córkę Meliorę, żeby w ziemi ormiańskiej strzegła skarbów na zamku, z krogulcem: który rycerz przy tym krogulcu trzy dni i trzy noce bezsennie wytrwa, może od niej skarbów i zamku się upominać; trzecia strzeże skarbów w Aragonii, aż przyjdzie rycerz z jej rodu, aby skarbów tych na wybawienie Jerozolimy z rąk niewiernych dobył.

Powrócił zwycięzca Gofroj do Lusignanu, do ojca, który mu rzecz o zniknięciu matki wyprawił; Gofroj mu opowiedział, co w Norwegii wyczytał. Tem większym gniewem zawrzeli obaj przeciw hrabiemu „podlaskiemu“, sprawcy wiarołomstwa Rajmundowego. Gofroj zamek podlaski napadł; stryj w ucieczce spadł i zabił się. Przygnębiony tem więcej Rajmund rzucił świat, poszedł do Rzymu i za poradą papieża Leona osiadł w pustelni, w Aragonii. Niebawem widziano Meluzynę, okrążającą Lusignan po trzy dni, znak odmiany rychłej, pana nowego, i rzeczywiście przybyli posłowie do Gofroja z wieścią o ciężkiej chorobie ojca; umierający oddał mu Lusignan. Gdy Gofroj na miejsce spalonego klasztoru większy i bogatszy wystawił, umyślił on wydostać owe skarby aragońskie, których przed nim inny, nadzwyczaj mężny rycerz napróżno, gdyż nie był z rodu „luzińskiego“, dobywał; więc brata Dytrycha na swoje miejsce w Lusignan osadził, i znowu widziano krążenie i słyszano kwilenie Meluzyny, gdyż Gofroj zapadł w ciężką chorobę i umarł, zanim się jeszcze w drogę do Aragonii wybrał.

Szczegóły romansu są historyczne; panowie z Lusignanu zostali rzeczywiście królami cypryjskimi i ormiańskimi (w tak zwanej Małej Armenii, dokąd wysiedleńcy ormiańscy przed Turkami uszli), a po wdowie ostatniego z Lusignanów, Wenecyance, Katarzynie Cornaro, przeszedł też Cypr w posiadanie rzeczypospolitej weneckiej. Nazwisko Meluzyny powstało z Melicendis, jak się kilka pań z rodu książęcego poatewskiego nazywało, między niemi i ta, przez którą Lusignanowie z królami jerozolimskimi się spokrewnili. I zabicie jednego z synów (którego Meluzyna zgładzić kazała, aby kraj od nieszczęścia uwolnić) jest historycznem, również jak i spalenie opactwa Maillezais (Malerza polskiego) przez Geoffroi La Grand'dent, syna Luzynianki, i jego podróż do Rzymu; nawet nazwę Melusine z mère Lusine (to jest Lusignan) objaśniano, podczas gdy ludowa tradycya, odwrotnie, Lusignan od Melusine wywodziła. Lecz, mimo tych szczegółów historycznych, „Meluzyna“ jest wierutną bajką.

Wierzy lud powszechnie w boginki, rusałki, niksy, undyny, świtezianki, czy jak tam je nazywają, po jeziorach, rzekach i zdrojach. Posiadają one skarby, pałace, niedostępne śmiertelnikom, nieraz niewidome im wcale. Wystarczy przypomnieć znaną w całej Europie bajkę Perraulta: „Le chat botté“, gdzie Maciuś bohatera ubożuchnego za królewnę swatając, w takim pałacu kosztownym wil, smoków, psiogłowców i t. d., jego osadza. Lecz kobiecie — przed emancypacyą — bez mężczyzny i raj nie w smak, więc i Goplana szuka kochanka, a znalazłszy go, oddaje mu osobę i skarby swoje; albo też mężczyzna podstępem i gwałtem zmusza ją do związków. Związek jednak między istotą nadprzyrodzoną a śmiertelnikiem trwać nie może, zerwie się prędzej, czy później, i Goplana wróci do swego żywiołu, czy to mąż pochodzenie jej zarzuci, czy odbierze ona naprzykład własne skrzydła, które mąż jej był ukrył, czy dostanie się przez jego nieopatrzność do swego żywiołu, czy złamie się wreszcie warunek, umożliwiający jej pobyt ziemski. Tak zwany „mit“ o Wandzie, a raczej wymysł marny Kadłubka, gdzie też odmiankę wątku Meluzynowego odnajdywano, w żadnej łączności z nim nie pozostaje, gdyż brak mu właśnie cechy istotnej, związku faktycznego między istotą nadprzyrodzoną a człowiekiem.

Poitou miało więc podania ludowe o feach, choćby przy owym Zdroju Pragnących; feom tym przypisywało zwaliska i grody, sięgające nieraz czasów rzymskich, to jest pogańskich. Gdy rodom książęcym i pańskim genealogie ziemskie już nie wystarczały, gdy przyplątywano do nich istoty bajeczne, weszła i „Meluzyna“ do rodu Lusignanów, tem łatwiej, że nosili oni w herbie nad hełmem syrenę, kobietę-rybę (czy smoka), nie rzadką zresztą i po innych rodach, a nawet

po miastach; przynieśli ją może ze Wschodu. Skoro raz feę, bezimienną naturalnie, z rodem owym sprzęgnięto, skoro umiano wyliczać zamki, jakie ona wybudowała, znalazły się niebawem i nazwisko dla niej, i parentela; reszty dokonał kronikarz, truwer, ksiądz kapelan, zbierający na życzenie pańskie tradycye rodowe, lub chcący się niemi panu przypodobać. On dorobi i historyę o matce Meluzyny i przekleciu jej, skalkowaną wedle tradycyi o Meluzynie samej; on nie zapomni wciągnąć i owego dowcipu ze skórą, pokrajaną w rzemienie, którą od nieboszczki Dydony, aż do Imć pp. Dowejki i Domejki świat powtarzał niezliczone razy.

Powieść o Meluzynie jest więc tradycyą lokalną, która, ani przybraniem kilku nazw i szczegółów historycznych historyczną nie została, ani też z mitologią indoeuropejską, albo semicką (fenicką) w żadnym związku nie pozostaje; za to doczekała się rozpowszechnienia po świecie, jak żadna inna powieść o podobnym wątku; ani Psyche i Amor, mimo opracowań przez najlepszych mistrzów, ani Lohengrin, mimo muzyki Wagnerowskiej, ani Stauffenberg, i t. d. równać się z nią nie mogą. Że tradycya pierwotna wielorakiego uszczerbku doznała, nim formę romansu przyjęła, to popularności jéj wcale nie zaszkodziło: niegdyś już pierwsze złamanie przysięgi katastrofę sprowadzało; o dzieciach i ich losach tradycya milczała i t. d.

Z tą „tradycyą" spleciono i drugą, zupełnie obcą. Nie rzadkie są podania o zjawianiu się po zamkach „białych kobiet", odzywaniu się głosów i skarg, zwiastujących śmierć kogoś z rodu. Tak i Meluzynę słyszano kwilącą w szumie i ryku wiatru. Tu jednak nastąpiło nowe zboczenie. Szum wiatru powtarza się wszędzie, zwiastując nieraz burzę, a z nią szkody na polu i w obejściu; Meluzynę, wyjącą w wietrze, oderwano od zamku luzyniańskiego, od zwiastowania smierci rodowej i uogólniono jej głos na każdą burzę; niebawem zaczęto ją obdarowywać, składać jej ofiary, aby nie szkodziła, i przypomniano, że ona swe niemowlęta karmiła, i rzucano jej mąki, soli, orzechów i t. d., aby to dzieciom odniosła, a nam spokój dała. We Francyi, Niemczech i t. d. czynią to wiatrowi, albo wietrzycy, ale miejscami we Francyi, a często w Czechach, występuje Meluzyna w tej roli, i tak śpiewają w Czechach: Huczy wiatr w polu, Meluzynę głowa boli, Dajcie jej na okno soli, By wam nie potłukło w polu i t. d.; podobne wzmianki mamy już z XVIII wieku, naprzykład w wierszu ludowym z roku 1771: wiatr dziś „Maloszanka" — czego Czesi nie zrozumieli. Na Rusi znowu pomieszano Meluzyny z rusałkami i „falaronami" (to jest Faraonami), zatapiającymi niebacznych, którzy się od nich na morzu skusić dają.

Polska tradycya uboższa; zaczyna ona później, głównie od owego tłómaczenia z roku 1569, które imiona osobowe i miejscowe poprzekręcało nieraz do niepoznania; naprzykład czytamy o rycerzu Stołu Okrągłego (króla Artusa): ten był na dworze u Arxa, króla angielskiego, domu był zacnego, Tafelrundami je zwano, był blizki przyjaciel p. Trystanta i t. d. W ruskiem tłómaczeniu jeszcze lepiej: sej bjasze woin na dworiech u Arta krala angickogo, domu byst' czestna, ta nerlujdami nazywachu sja, byst' prijatel blizskija gospodina Trista Talanta i t. d. Z Montferratu zrobiono Możerot i t. d.; na początku hrabiego Podlaskim (Forst) przezwali, potem Fortskim się zadowolili. Niektóre szczegóły, zbyt od historyi odbiegające, Polak opuścił; inne, szczególniej przy końcu, nieco skrócił; jedno i drugie może sam dodał, naprzykład że króla czeskiego „Turcy i Słowacy“ zabili — wiek XVI od tłómacza nigdy nie wymagał zbytniej dokładności; nakoniec nie wszystko on najlepiej zrozumiał. Drzeworyt na tytule (w późniejszych wydaniach wedle smaku saskiego bardzo rozszerzonym) powtarza się w niemieckich wydaniach naprzykład Magielony; niema typowej syreny, jak naprzykład w czeskich egzemplarzach.

II.

„Meluzyna“ to typowy romans rycerski; dziwne przygody, z istotami nadprzyrodzonemi, olbrzymami i feami—wodnicami, wyprawy i walki z poganami i krzywdzicielami wdów i sierot, stanowią treść jego, a sprężyną, poruszającą jego bohaterów, takiego Gofroja np., nie jest chęć zysków i sławy, lecz „politowanie płaczu i ucisku chrześciańskiego.“ Jak prawdziwy romans rycerski „Meluzyna“ nie ma właściwie końca, bo urywa na śmierci Gofroja, chociaż mógłby prawić dalej o innych synach i wnukach Rajmundowych, a Meluzyna znika już w jego połowie; brak też elementu erotycznego, sentymentalnego; Gofroj umiera, nie skosztowawszy miłości, a miłość Rajmunda i Meluzyny spokojna jest i równa.

Inny romans francuski, Historya o Magielonie, królewnie neapolitańskiej, jeszcze słynniejszy niegdyś, przedstawia już typ odmienny, bo bez epizodów i dygresyiześrodkował się około losów jed-

nej pary kochanków i zmienne ich uczucia kreślił wymownemi słowy; zamiast szczęku oręża panują w nim sentymenta.

Nam „Magielona“ znowu nic już nie mówi, lecz ileż-to pokoleń zachwycało się nią! Dotąd paręset wydań ocalało, samych polskich ze dwadzieścia—a ileż to zaginęło bez śladu, skoro np. polskie posiadamy dopiero z XVIII wieku, gdy ruskie tłómaczenia rękopiśmienne z polskiego już z r. 1677 datują a polskie inwentarze księgarskie już w XVI wieku Magielonę wymieniają; drukarz Harder na jednym jarmarku marcowym (we Frankfurcie) r. 1569 sprzedał 176 egzemplarzy. Wydania polskie z olbrzymim tytułem i osobliwszem zalecaniem do czytelnika posiadamy z roku 1710, 1725 r. i t. d.; przeróbkę jej zawiera rękopis Pawlikowskich we Lwowie z drugiej połowy XVII-go wieku.

Żadną cudownością ani tejemniczością, jak „Meluzyna“, lecz gorącą, wierną, wytrwałą miłością i kornem a ufnem zdaniem się na łaskę Bożą pociągała „Magielona“ umysły naiwne:

Piotra z Provence, syna jedynaka księcia Wolfanga i Petroneli aragońskiej, dzielnego rycerza, pokonywającego wszystkich w turnieju, namawia Neapolitańczyk Ryszard, aby domu nie zalegał, lecz na obczyźnie sławy się dorabiał, wskazując mu dwór króla neapolitańskiego, gdzie dla słynnej z piękności królewny, Magielony, ludzie rycerscy zewsząd się zjeźdżają. Rodzice nie chcą przyzwolić, lecz Piotr przełamuje ich opór prośbami; matka daje mu na drogę trzy kosztowne pierścienie. W Neapolu nie wyjawia Piotr rodu swego, nosi dwa srebrne klucze na hełmie (ku czci patrona, Piotra św.) i słynie pod nazwiskiem rycerza z srebrnemi (w tłómaczeniu polskiem —złotemi) kluczami. Pokonawszy przeciwników, zaproszony do stołu królewskiego, pokochał od razu Magielonę i podobał się jej nawzajem, z czem się ona niebawem piastunce swej, Potencyanie, zwierzyła. Gdy piastunka gorący ich afekt uznała, pośredniczyła między kochankami, przynosząc Magielonie owe pierścienie w upominkach; na schadzce tajemniczej wyznał Piotr Magielonie ród swój i imię. Nowy turniej zwabia najznakomitszą szlachtę, której tytuły polskie tłómaczenia strasznie przekręcają (Antoni, którego zwano Zofoy, to Savoye; brat księcia z Bombaju zamiast Bourbon); Ceter ein Neff des Königs zu Behem, to Piotr Meff, króla czeskiego brat cioteczny itd.); Piotr pokonywa wszystkich rywalów, poczem prosi królewnę o pozwolenie odjazdu, aby mógł stęsknionych rodziców oglądać. Królewna, bojąc się, by ojciec jej za kogo innego nie swatał, ofiaruje się z nim razem jechać, nikomu, nawet piastunce, o tem, nie powiedziawszy. Hrabia wykrada szczęśliwie Magielonę; nad morzem zasypia ona na łonie jego, on podziwiając jej piękność ujrzał na piersi

jej zawiniątko, otworzywszy poznał w niem swe pierścienie, które kruk uniósł. Goniąc za nim wsiadł Piotr na jakąś łódkę, lecz wiatr porwał go na otwarte morze; tam naszli go zbóje i odwieźli do Aleksandryi, w darze do sułtana babilońskiego.

Przebudziła się tymczasem Magielona i próżno nawoławszy i naszukawszy się rycerza, przekonana, że jakieśnieszczęście jego samego spotkało, gdyż konie z jukami pozostały; noc na drzewie spędziła, z przechodzącą gościńcem pielgrzymką szaty wymieniała. Do domu wracać nie było po co, więc ruszyła do Rzymu, do kościoła św. Piotra, i tam umyśliła udać się do Prowancyi, by się czegoś o hrabi Piotrze dowiedzieć. Dotarłszy szczęśliwie do Aigues Mortes, usłyszała, że hrabia znikł bez śladu, więc udała się w ciężkiej rozpaczy na służbę bożą. Naprzeciwko Aigues Mortes była wysepka „Pogański Port,“ gdzie przybijały okręty całego świata; tam wystawiła ona kościołek św. Piotra i szpitalik, w którym obcym chorym służyła. Sława o niej i o cudach, jakie się przed obrazem św. Piotra działy, ściągała ludzi, i starzy hrabiostwo zaszczycali ją odwiedzinami i nie mogli się jej powadze nadziwić. Ułowili byli raz rybacy wielką rybę i ofiarowali ją hrabiemu; gdy ją przyrządano, znaleziono w niej ów węzełek z pierścieniami i oddano hrabinie, która z pierścieni tych pewności o śmierci syna nabrała i w żalu swym utulić się nie dała; dowiedziała się o tem i „szpitalna“, Magielona, i postanowiła życia na owej wysspie dokonać.

W Babilonii zaś uzyskał był Piotr nadzwyczajną łaskę sułtańską, chociaż, zawsze głęboko zasmucony, w niej nie korzyścił. Razu pewnego, upatrzywszy chwilę stosowną, uprosił sobie od sułtana jako pierwszą jego łaskę, aby mógł rodziców odwiedzić; sułtan, acz z wielkim żalem, słowa dotrzymał i skarbami go obsypał. W Aleksandryi kupił Piotr czternaście beczułek soli, w ową sól skarby swe powkładał i umówił się z marynarzem o przewóz do Prowancyi jego i tych beczułek, przeznaczonych dla szpitala jakiegoś, zapłacił koszta z góry. Wyjechawszy z portu, przybili jeszcze do wyspy dla nabrania wody słodkiej: Piotr wyszedł na ląd, usiadł na dalekiej łące i usnął; marynarz, chąc z pomyślnego wiatru skorzystać, a nie mogąc się jego dowołać, odjechał bez niego; lecz przybywszy do Pogańskiego Portu, a wspomniawszy że właściciel soli miał zamiar szpitalowi ją ofiarować, oddał je w jego imieniu do szpitalika św. Piotra. Gdy raz Magielona soli zapotrzebowała, odbiła beczułkę i znalazła w niej, a potem w każdej innej, bogate skarby; za skarby te powiększyła znacznie i kościół i szpital.

Piotr, ocknąwszy się wreszcie, ujrzał się opuszczonym; blizkiego rozpaczy i śmierci nadeszli trafunkiem marynarze, zabrali ze sobą

i w mieście Krapania w szpitalu zostawili. Bardzo powoli nabierał schorzały Piotr siły; raz przechadzając się nad morzem, ujrzał ziomków, gotujących się do odpyłnięcia i uprosił ich w imię Boże, aby go do ojczyzny z sobą zabrali. Po drodze przyszła mowa na kościołek św. Piotra z Magielony, bo pod tą nazwą on słynął, i radzono mu, aby się tam ofiarował dla zupełnego odzyskania zdrowia, co on też zrobił. Tam nastąpiło wreszcie poznanie się wzajemne i długi smutek odmienił się w największe wesele; sułtan nawet przysłał z bogatemi darami uwolnienie Piotra od służby, tak, że rycerskie słowo uszczerbku nie poniosło.

Kościół św. Piotra na wysepce Magielonie, koło Aigues Mortes istnieje do dziś—jedyny to element historyczny powieści, która przez to historyczną bynajmniej się nie stała, tak samo, jak np. wzmianka o Tyńcu w historyi o Walcerzu i Wisławie niczego nie dowodzi. Powieść sama—zwykły wątek romantyczny o rozłące pary kochających się i o uwieńczeniu stałej ich wierności; lecz wątek ten szczegółami swemi, krukiem, beczułkami z solą (czy z owocami) dla skarbów itd., wskazuje na wschód: odnajdujemy go też w powieściach Tysiąca i jednej nocy. Ze wschodu przeniesiono opowiadanie do Włoch (gdzie od końca XV wieku nieraz je przytaczają i opracowują) i do Prowancyi, gdzie je r. 1453 czy 1457 prozą spisano, dokonawszy lokalizacyi jego. Na niemieckie przetłómaczył oryginał francuski Wit Warbeck, ochmistrz saskich książąt, dla pupilów swoich r. 1527; po śmierci r. 1535, wydano prace jego, przekładano na coraz inne języki, czeski, polski itd.; lecz właśnie tekst polski poczyna sobie bardzo swobodnie z niemieckim, rozszerza go dowolnie, tłómacz nie krępował się wcale oryginałem.

Przytaczamy tu próbkę tekstu polskiego, żeby czytelnicy powzięli wyobrażenie, jak „romans" polski, choć tłómaczony, niegdyś się przedstawiał, z najdawniejszego wydania Magielony, którego resztki (dwie kartki) szanowny kusztosz zbiorów Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dr. B. Erzepki, ze starej oprawy odlepił i nam łaskawie przesłał. Gdy wszystkie późniejsze wydania Magielony, któreśmy dotąd widzieli, około 160 stron liczą, to owo najstarsze, z XVII wieku liczyło ich około 210, tak bujnym był jego gotyk. Tekst karty I 5 (str. 137 i 138) brzmi (królowa dowiedziawszy się o zniknięciu Magielony):

„z wielką pilnością rozkazała krolewny szukać. §. Gdy sie to tak długo taiło, widząc krolowa iż źle, dała wnet tę rzecz znać królowi. Tak owa rzecz, gdy do uszu krolewskich doszła, zasmucił sie okrutnie, a dowiedziawszy sie o odjechaniu rycerza złotych kluczów

wnet zrozumiał, iż on uniosł krolewnę. Rozgniewawszy sie tedy, natychmiast przykazał, aby po wszytkim krolestwie szukano rycerza onego, ktorego on chciał bez wszego miłosierdzia śmiercią pokarać haniebną. Gdy takowa rzecz gruchnęła po wszytkim mieście, iż krolewnę rycerz uniosł, wnet sie wzruszyło, a zaburzyło miasto wszytko, wnet owi ludzie zacni, co natenczas przy dworze krolewskim byli, z trzaskiem jęli sie gotować w pogonią za rycerzem. Wszytek dwor krolewski bardzo sią zasmucił około tego. Krol, krolowa osobliwą żałością wzruszeni byli, tak iż od wielkiego żalu od pamięci odchodzili a królowa omdlewała.

§. Potym krol Potencyany zawoławszy do siebie rzekł ku niey: Na moje krolestwo, bezpiecznie to powiedzieć mogę, iżeś ty nieslachetnico o tym wiedziała, gdyż (nikt iny) tam sie więcey jey sprawami nie (bawił, jedno) ty, a tak ty tego gardłem przypłacić musisz, jeśli prawdy nie powiesz, wieszli czyli nie wiesz o tem. Potenciana słysząc srogie krolewskie słowa, padła wnet na ziemi u nog krolewskich, mowiąc: Najjaśniejszy krolu, panie, a panie moj, jesliż sie wasza jasność krolewska tego dowiedzieć raczysz, iżby ja namniejszą do tego przyczyną była, abo iżbym o tem wiedzieć miała, oto gardło i zdrowie moje jest w łasce waszej krolewskiej jasności, a niechaj jako może być śmierć naokrutniejsza wymyślona, jeśliżbych ja o tym wiedziała, niechajcibych ja umarła. A wszak biorę sobie na świadectwo krolowę jej miłość panią moją, iż jakom sie skoro wnet o tym dowiedziała, tedym tego przed nią nie taiła, a tedyżem jej to oznajmiła.

§. A tak Krol dawszy wiarę Potencyanie szedł bardzo smutny do swego pokoju, a przez cały on dzień nic nie jadł, ani pił od wielkiego zamutku. Gdy takowa nowina nietrefna po wszytkim sie krolestwie rozszyrzyła, szukali wszyscy rozjechawszy sie wszędzie na wsze strony, ale nic nie znalazłszy, a nigdziej sie nic nie dowiedziawszy, wszyscy sie dziwiąc mówili: aboć w ziemię żywo wstąpili. Owa jedni w sześci dnioch, drudzy w piącinaście dnioch wrocili sie...

Na karcie I 7 (str. 141 i 142) czytamy o owym węzełku, który rycerz na piersiach Magielony ujrzał, z pierścionkami, bo nic jej nie było tak miło „jedno gdy je sobie oglądała a na nie patrzyła. Rycerz obaczywszy iż to ony pierścionki co jej dał, zawinąwszy je położył podle siebie nie daleko, a dziwując się pięknością panienki onej zdało mu sie jakoby był w zachwyceniu, i tak im więcej patrzył na jej cudność tym sie więcej serce jego przychylało ku zapalczywej miłości. Ale Pan Bog chąc okazać to onemu rycerzowi, iż żadna rozkosz, a żadne kochanie na świecie trwałe być nie może, które jest nad wolą jego, wnet ono lubowanie odwrocił w gorzki żal. Abowiem przyleciał

ptak co ji zową leśny Kruk, ten ujrzawszy czyrwoną kitajkę podle rycerza, a mniemając by mięso, porwał on węzełek i uleciał z nim.

Następuje cała niemal stronica tytułu tj. treści rozdziałów, powtórzonej w krótkości: §. Jako rycerz począł gonić onego ptaka itd., opuszczamy to, str. 142, kończy potem:

Obaczywszy to rycerz iż mu ptak pierścionki porwał, jął sobie wnet myślić, mówiąc: I cóżem ja uczywił, żem ty pierścienie tak nieopatrznie położył, oto zły nieszczęsny ptak, przyprawie mię do mojej najmilszej, że będzie złego mniemania o mnie. A tak pomaluczku złożywszy na suknią swą głowę krolewny oney, począł onego ptaka gonić, a krolewna tego by namniey nie czuła, bo sie była dziwnie upracowała oną jazdą. Ptak od drzewa do drzewa uciekając odwiódł bardzo daleko w las onego rycerza, aż potym zaleciał za odnogę morską na skałę i z onym węzełkiem. Rycerz potym ciskał nań kamieńmi, aż on ptak upuścił on węzełek w wodę. Widząc rycerz...

Przedrukowaliśmy umyślnie szacowny zabytek (z pierwszej połowy XVII wieku?) bez zmiany, modernizując tylko pisownię jego (bez cż, ći, th itp.). Romans ten przedstawia typ nieco odmienny od innych; cały interes skupia się wyłącznie około jednej pary, nie rozprasza się uwagi nadzwyczajnemi zdarzeniami; porusza się natomiast tkliwość serca i przeważają mowy i refleksye, od samego początku, gdy rodzice Piotrowi tułaczkę odradzają, od zabiegów Magielony i piastunki jej, od gruchania pary zakochanej, aż do słów, jakiemi „szpitalna“ osierociałą matkę pociesza, chociaż raczej sama pociechy-by potrzebowała. Ten moment rozstrzygnął: ciekawsza, rycersko-awanturnicza „Meluzyna“ ustąpiła w końcu dosyć banalnej „Magielonie“ i jej sentymentalnemu nastrojowi; jeszcze dziś można opowiadanie o „Piotrze ze złotemi kluczami“ napotkać w żywej tradycyi ludu ruskiego, albo w wydaniach Foltyna wadowickich, któremi lud nasz okarmiając, potrzebę czytania wzbudzają, z czego-by roztropnie korzystać należało.

Trzeci Romans francuski, „Oktawian“—jak poprzednie przerobiony przez Tiecka, którego „Kaiser Octavian“, za ewangielię romantyzmu niemieckiego uchodził—zowie się u nas „Historyą piękną i krotochwilną o Ottonie cesarzu rzymskim.“ Treść jego powtarza wątkiem swym legendę o Placydzie i Eustachym, o Genowefie itd., rozszerzając je rycerskiemi czynami obu synów „Ottona“, panującego w Rzymie, wedle jakiejś chronologii osobliwszej, za czasów króla

Dagoberta we Francyi. I ten romans bardzo się w Moskwie podobał, przetłómaczono go już w r. 1673 i przepisywano często. U nas stracił on oddawna na walorze, wyrugowała go bowiem „Genowefa;“ egzemplarze posiadamy z XVIII, np. z lat 1746, 1761, 1766 i t. d., a wiemy o dawniejszych (przed r. 1591); rękopis Pawlikowskich z drugiej połowy XVII zawiera najdawniejszy dziś odpis; ich biblioteka posiada i druk z 1746.

Po długiej niepłodności porodziła cesarzowa Alunda bliźnięta, ale „świekra“ oskarżyła ją u syna o niewierność małżeńską i umiała rzecz tak urządzić, że wszelkie pozory przeciw niewinnej świadczyły. Cesarz chciał żonę dać spalić, w końcu jednak, pomny na miłość i przysięgę małżeńską, pozostawił ją przy życiu, lecz wraz z dziećmi wygnał. W lesie porwała małpa śpiącej matce jedno dziecko; rycerz pewny odbił je, lecz stracił do zbójów, którzy je staremu Klimuntowi z Paryża sprzedali: on dał je Florencem ochrzcić i wychował je u siebie, wraz z własnym synem, Klaudyuszem. Próby jednak, aby Florenca do rzemiosła jakiegoś przyuczyć, nie udawały się, dla rycerskiego animuszu, za to ocalił on Paryż i króla Dagoberta, gdy sułtan babiloński z trzydziestu królami-synami, z prześliczną córką swoją, Marcebilą, obległ. Pośpieszyli byli sąsiedni królowie wraz z Ottonem cesarzem Dagobertowi na pomoc, lecz nikt nie ważył się podjąć walki z olbrzymem, którego Florenc pokonał, a po odniesionem zwycięstwie do Marcebili dotarł i jej pięknością porażony w końcu ją odbił i do Paryża doprowadził. Lecz siły nieprzyjacielskie przemagały i poganie porwali w końcu Ottona i Florenca, i uwiedli związanych do niewoli.

Drugie dziecko utraciła również Alunda, porwała je bowiem lwica, lecz w końcu odzyskała je matka i lwica służyła jak pies dziecięciu, zwanemu dlatego „Leonem, jakoby Lwicem“. I Lion wyrósł na najdzielniejszego rycerza, i wyruszył szukać ojca i pośrednictwa króla Dagoberta, aby matkę do należnej czci przywrócono. Nadszedł on też w samą porę i z lwicą i orszakiem swym taką między poganami rzeź wyprawił, że i samego sułtana uwięził, którego potem w Paryżu, z jego córką Marcebilą, ochrzczono. Tu nastąpiło poznanie małżonków (Lion z matką przyjechał) i dzieci. Florenc zostaje królem angielskim i umiera w sędziwej starości „w lundzkim zamku“, zostawiając po sobie na tronie syna Wilhelma, Lion zaś zdobywa na „turnirze“ rękę królewny hiszpańskiej!

Romans o Ottonie uderza rysem nowym, niezwykłą przymieszką komizmu; komiczną rolę odgrywa Klimunt, ów mniemany ojciec Florenca, tchórz i sknera, straszny filister, prototyp Prudhomme'a, który fetując książąt i panów z okazyi pasowania Florenca na rycerza

płaszcze im chowa, niech wprzód bankiet zapłacą; serenadę muzyków kijami, wyzwiskami rozpłasza, a mimo to, jak Zagłoba jaki, śmiałem porwaniem niezrównanego wierzchowca sułtanowego, Butyforta, czy Buntyfeta, do zwycięstwa chrześciańskiego walnie się przyczynia. Komicznym jest i wygląd Florenca, wyruszającego do monomachii z olbrzymem, w starej, zardzewiałej zbroi, która w domie Klimuntowym wszelkie kąty wycierała; jeśli Satyr Kochanowskiego zniewieściałym Polakom wyrzuca:

> Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
> A z drugiego już dawno w kuchni rożen długi,
> W przyłbicach kwoczki siedzą abo owics mierzą,
> Kiedy obrok woźnice na noc koniom bierzą.

To wydaje nam się ten opis niemal parafrazą z romansu, gdzie gaspodyni Klimuntowa w kapelinie (hełmie), kokoszki sadza, włócznia żerdzią dla kur służyła („ale może to oskrobać"); przedni „plach" miasto „siedleczki" (wiejaczki) używamy ku sypaniu zboża, a zadnim piec zatykamy, miecz zaś został pod łóżkiem, gdy nim myszy straszono. Efekt ten komiczny stopniuje tłómacz wplataniem przysłów polskich, np., gdy myśliwy nieopatrznemu Florencowi za dwa karwy (woły), krogulce sprzedaje, myśli sobie: lepszy gil, niż motyl, a chociaż oba ptacy. Gdy Klimunt „tak się skubł około ostróg mało nie godzinę", zaklął wreszcie i zaraz mu się z niemi „wzdarzyło", więc powiedział: lepszy karany; był wesół, gdy słyszał „iż rzemienia nie miał pociągać" (sam płacić) itp. Tłómaczenie ujawnia język wieku szesnastego (np. sułtan wita córkę: moja miła b o j a r k o! albo mówiąc o prędkich bachmatach i chybkich b a d a w i a c h, rumakach), i przekład z niemieckiego, skoro wyliczając np. części zbroi mówi „armszyny, szosy", albo powie t y g i e r i t. p. Niektóre drastyczne szczegóły oryginału, jak np. Klimunt z muru Florencowi walczącemu otuchy dodaje, albo jak fraucymer Marcebilli z Florenca „kominnika" (kominiarza, tak niepocześnie wyglądał on bowiem w zaśniedziałej zbroicy), się natrząsał, opuszczono; nazwiska haniebnie poprzekręcano, np. panięcia wielkiego „Pana zwierzchniego z Madentyeru z Duydelbergu" Paryż leży nad „Seyną", S. Germain-en-prais jest św. German na łące i t. d. Ale w całości przekład bardzo udatny, swobodny, czyta się z zajęciem i przyjemnością.

Nie zadowolnił się jednak bogobojny tłómacz polski (a za nim poszedł ruski), samym romansem, dodał on „Historyę prawdziwą o hrabinie Altdorfskiej, która jednym porodzeniem dwanaście synów porodziła ku pierwszej historyi bardzo przystojną" i jeszcze drugą „Prawdziwą historyę o zacnej płodności." Konflikt w Ottonie wynikł przecież z podejrzenia z powodu bliźniąt, które w niedoświadczonego wojownika łatwo wmówiono, ale co dziwniejsza, że i panie zwieść się dały i posądzały, choć dobrze wszystkiego świadome: bo „i cóż najczęściej czego między niemi, gdy się zejdą, niż o rodzeniu dziatek i wychowaniu—przedtem było o ubiorze". „W Niemczech, w ziemi Algarsk, pół mili od Rawenszporgu ku Dennemu jezioru (Bodensee!) leży ochędożny zamek Altdorf" itd., tu odbywa się ta historya: hrabina posądzająca poddankę, która trojgiem dziatek zległa, rodzi sama dwanaścioro od razu i, zawstydzona, każe w nieobecności męża jedenaście topić; gdy żadna z fraucymeru tego się nie podjęła, „gdzie złe nie może babę starą pośle"—baba zanosi je do rzeki, a spytana od wracającego właśnie z łowów hrabiego, coby niosła, wymawia się, że to pieski, przykrzące się hrabinie skomleniem. Prawda się wyjawia, hrabia każe kryjomo do siódmego roku dzieci u młynarza chować, a potem, sprosiwszy liczne grono, wszystko objawia; upokorzona głęboko hrabina zyskuje przebaczenie.

Przytoczyliśmy opowiadanie, powtarzające się i w polskich legendach herbowych, przytacza je niemal dosłownie Wacław Potocki (Poczet herbów), dla ośmiu wyżląt nad hełmem Kuszaby—tylko na Szląsku rzecz opowiada i o dziewięciu zamiast o dwunastu synach prawi; Niesiecki pod Paprzycą legendę także powtarza, jako czeską tym razem; Paprocki jej jeszcze nie powtarzał; wszystkie też legendy herbowe polskie bywają tak późne, jak same herby, których pierwotna szlachta nie znała, mając dosyć na „zawołaniach". Druga historya odbywa się r. 1446 w Regensburgu, które miasto też „Raciborzem (!) nad Dunajem zowią", gdzie hrabia Bego przed cesarzem Fryderykiem z 32 synami się zjawia; lecz 40 lat minęło, a liczny ród do szczętu wyginął, tak znikome i marne są rzeczy świeckie, więc starajmy się o mądrość, zawsze się pomnażającą, lecz tej nie z takich książek, jak niniejsza, tylko z pisma św. zdobywamy—takiem ostrem zasądzeniem własnej pracy kończy ją tłómacz polski z kornem westchnieniem.

Z francuskiego (Belleforesta, który z Włocha Bandela czerpał), przetłómaczono też „Historyę bardzo ucieszną" r. 1642 (inne jej wydania są z r. 1665 i 1676), nowelę o miłości Zuzanny i Aleksandra, udramatyzowaną przez Szekspira samego, a u nas przy końcu tegoż

wieku (XVII), przewierszowaną przez bezimiennego rymopisa, którego praca jednak z rękopisów dotąd nie wyszła. Stary Antoni, utraciwszy syna Pawła w pogromie rzymskim r. 1527, z Zuzanną córką przebywał w Ankonie, gdzie się Aleksander w niej rozkochał, a choć wietrznik na chwilę afekt ku innej, Lukrecjej, skłonił (co „Zusieńka", w przebraniu męskiem służąc „Alesieńkowi" swemu za pazia, z głębokim żalem serdecznym uznała, nosząc listy miłosne), wrócił do swej Zusieńki, skoro Lukrecya pięknego pazia nad życie umiłowoła, którego jej Paweł w końcu zastąpił' boć tak był do siostry podobny, że ich rozeznać bywało trudno; zwyciężyła więc wytrwała miłość Zusieńki. Przekład polski, bardzo zręczny, wdzięczny i swobodny, nie zwracał się pierwotnie ku szerszemu kołu czytelników, był „hołdem i powinnym honorem dla zacnej jednej damy w Koronie polskiej", szturmował do jej serca i z udatnych wierszy, któremi tłómacz prozę oryginału przeplatał, przebija żywo niekłamany afekt. „Niech żyje miłość"—motto tej książeczki i autora, którego-byśmy w wysokich kołach społeczeństwa ówczesnego, między Opalińskimi, Ossolińskimi albo Leszczyńskimi szukali, który z oryginałem po pańsku się obchodzi, dodaje i opuszcza dowolnie, aby nie drażnić świętoszków, aby ogólne „konsyderacye" (na początku) wystawić, miejsca czułe pomnożyć i powiększyć. Mimo trzech wydań i przeróbki wierszowanej właściwego rozgłosu ta powieść nie zyskała; sama treść wyłącznie erotyczna wyłączyła ją z rzędu „powieści ludowych"; lecz znamienna ona jako wczesny ślad wpływów francuskich, wyprzedza bowiem tłómaczenia Morsztynów (dramatyczne) i późniejsze romansów francuskich, np. romansu o Bonie, przechowanego po tylu rękopisach polskich, bardzo ciekawego, a bardzo zdrożnego, wystawiającego dwór Zygmunta Starego w najniemoralniejszem świetle (Les amours de Bonne Sforza reyne de Pologne, w Lejdzie, 1682, przetłóczony na angielskie 1684 i równocześnie na polskie). O tonie romansu poświadczy choćby deklaracya miłości biskupa krakowskiego dla Bony, której pięć czy sześć portretów sztychowanych ma w brewjarzu swoim: ona jako święta, a on u jej kolan; nigdym się w życiu tak nie śmiała, mówi Bona, gdyż żaden z moich kochanków nie hołdował mi z takiem nabożeństwem.

Mimo to, wspomnijmy choć króciutko o „Bonie", skoro u nas romans ten i treść jego nieznane. Bona wciąga w swe sidła Tarnowskiego, który, zaplątany w intrygę miłosną z ks. Ostrogską, jej się z początku opiera, aby tem pewniej w sidła jej popadł; ks. Ostrogski i biskup krakowski zazdroszczą mu; biskup przestrzega listem, podrobionym na imię Ostrogskiego, króla, że znajdzie Tarnowskiego u stóp

Bony: wraca więc król nadspodziewanie do zamku, który dla łowów opuścił, nocą, i zastaje u Bony nietylko Tarnowskiego, ale i Ostrogskiego, i Ostrogską z jej nowym kochankiem, Toporem, i biskupa, który po drabinie sznurowej włażąc karku nadwerężył: każdego sprowadził autor do komnaty królewskiej z innych motywów. Zygmuntowi, zdziwionemu tak licznem zebraniem, oświadcza Bona bez najmniejszego zafrasowania, że zwołała wszystkich, aby pogodziła zwaśnionych, Tarnowskiego i Ostrogskiego, czem król bardzo uradowany, nikt jej naturalnie nie przeczy i wszyscy rozchodzą się zadowoleni. Turnieje, intrygi miłosne, zwierzanie się Bony przed Zygmuntem o miłostach dworskich zapełniają romans, godny Wersalu Ludwików XIV i XV, nie Wawelu Zygmuntowskiego. Uderza duch antyklerykalny; najpotworniej wystawiono biskupa i duchownych, np. „ludzie profesjej tej tak są do pacierzy przyzwyczajeni, że gdzie za grzech żałować potrzeba, tam się o pomoc do grzechu modlą“ lub „niech Bóg uchowa każdego kochającego od konkurenta duchownego; niebezpieczni to i szkodzący wielce ludzie“ itp.

Nie wiemy, czyje pióro tą elukubracyą się popisało, czy jakiegoś z francuziałego Polaka, czy raczej Francuza jakiegoś, bo było ich kilku, którzy rzeczy polskie wtedy znali i niemi się zajmowali; bądź co bądź, romans ten wyprzedza XVIII wiek i jego rozmaite cour galante. Przepisywano go chciwie, liczne po dziś dzień rękopisy dowodzą tego niechybnie, lecz w druku pojawić on się nie mógł. O wiele niewinniejszym był spółczesny niemal romans Prechac'a, Kawaler polski o „wojewodzicu chełmińskim, Walewskim“, i jego przygodach miłosnych z Beraldą, Niemką dworu Eleonory, królowej (żona Michała Wiśniowieckiego), ukoronowanych, wbrew ojcu wojewodzie i rywalom, szczęśliwym związkiem: romans ten poruszył cały szereg piór polskich, jeszcze w XVIII wieku wierszowali go na przemiany mężczyźni i kobiety, znamy kilka tych przeróbek, rękopiśmiennych i drukowanych. Lecz wykraczają one poza ramki naszego szkicu, tak samo jak i bardzo ślizki Romans o Don Pedrze, który w rękopisie obok Romansu o Bonie czytaliśmy: żaden z nich nie stał się bowiem popularnym, „powieścią ludową“.

III.

Jeszcze rychlej, niż Oton, wyszła z pamięci powieść o Fortunacie; egzemplarza jej polskiego dotąd nie odszukano, chociaż ją już w XVI wieku (przed rokiem 1571) drukowano, a jeszcze w XVIII czytano; nie przełożono jej nawet, nie wiem dla czego, na ruskie, — czyż-by już w XVII wieku na popularności straciła?

Fortunat odbiega zupełnie od romansów rycerskich; jest to właściwie zwykła sobie bajka o cudownych przedmiotach, o właścicielu ich i przygodach jego. Niemiec jakiś ten temat odwieczny rozwałkował niepotrzebnie na opowiadanie aż o dwu pokoleniach, o ojcu i o synach jego, ginących dla tych klejnotów, i powtykał szczegóły historyczne, europejskie, w kanwę dawną, wschodnią. Opowiedzmy pokrótce treść, niegdyś tak żywotną, że stary Rysiński w r. 1618 „mieszek Fortunatów“ (tyle, co klasyczny „róg Amaltei“) w przysłowia włożył, a szczegół jej inny, jak to cynamonem i gwoździkami pod kuchnią palono, Fuggerom wobec Karola V przypisano i również w przysłowia włożono; jeszcze inny szczegół i Rey, zdaje się, stąd zaczerpnął.

Bogaty pan w Famaguście na Cyprze roztrwonił cały majątek, tak, że syn jego, Fortunat, na razie chyba Infortunat, dom opuścił, aby rodzicom nie ciężył; przyjął go na służbę hrabia flandryjski, wracający właśnie na Cypr z pielgrzymki jerozolimskiej. Polubił go hrabia nadzwyczaj, wyróżniał zawsze, i tem inne sługi i giermków do największej zazdrości pobudził, którzy w końcu arcyniesumiennym fortelem od dworu go na zawsze odstraszyli. Uciekł Fortunat w największej, acz całkiem płonnej, obawie, lecz powiodło mu się niebawem stokroć gorzej: przetrwoniwszy bowiem w Londynie z kobietami, co we Flandryi uzbierał, przyjął służbę u kupca włoskiego (lombardzkiego), Roberti, który wpadł, acz niewinnie, w podejrzenie, że ograbił i zabił Anglika z kosztownościami królewskiemi. Kupca i służbę wzięto na tortury, powieszono wszystkich, prócz Fortunata, nieobecnego przy owem zajściu, który więzieniem, strachem i mękami niewdzięczną służbę opłacił. Umknąwszy z rąk sprawiedliwości, zabłądził po długiej wędrówce w gęstej puszczy; ledwie się tu przed niedzwiedziem obronił i jego krwią posilił; lecz gdy się nad ranem

ocknął, ujrzał przed sobą piękną niewiastę, Fortunę, która mu do wyboru dawała szczęście, zdrowie, mądrość i t. d., widocznie aby nazwisko jego uzasadnić, bez żadnych jego zasług szczególnych. On wybrał bogactwo i otrzymał od niej mieszek, z którego za każdem sięgnięciem ręki dziesięć złotych monety krajowej dobywał; dar ten opłacał warunkami nie trudnemi, aby rocznicę święcić, wyposażać w nią ubogie stadło i t. d.; mieszek miał zatrzymać moc cudowną dla niego i jego prawych synów, póki ich życia. Wyprowadzony z puszczy, żałował Fortunat parę razy, że zamiast bogactwa, rozumu raczej nie obrał; dla majątku swego popadał bowiem w ciężkie opały, lecz zawsze się ratował. I stał się z niego globetrotter; był i w Konstantynopolu, i w Krakowie, i w skale świętego Patryka, to jest w wejściu do czyśca, aż wrócił na Cypr, gdzie już rodziców nie zastał; tu wybudował okazałe pałace; wyswatano go świetnie, lecz niebawem ozwała się w nim znowu żyłka wojażerska; tym razem puścił się na Wschód, okrążył i państwo popa Jana, i Kalikut, gdzie pieprz rośnie, i Chiny, i w Aleksandryi fortelem u sułtana zdobył kapelusz, który miał tę moc, że, włożony na głowę, przenosił natychmiast na miejsce, o którem pomyślano. Z tem powrócił ponownie do Cypru i życia tu w spokoju dokonał, objaśniwszy synom właściwości cudowne mieszka i kapelusza.

Synowie ci byli wcale nierównego usposobienia: piecuch Ampedo chyba w matkę się wdał, Andolozya za to w ojca i w domu dosiadywać nie myślał; próżne były perswazye brata; z mieszkiem, zaszytym starannie, wyruszył on w świat; zaczął naturalnie od Paryża, gdzie frycówkę zapłacił; będąc widocznie bardzo kochliwej natury, w Londynie dał się dopiero podejść okrutnie. Piękny i dzielny rycerz zakochał się w cudnej Agrypinie, jedynaczce królestwa angielskiego, i zdawało mu się, że znalazł równą sympatyę, lecz ją i jej rodziców zaciekawiało bardziej, skąd-to te jego nieprzebrane środki—jemu to spłatał król figla, zaprosiwszy się do niego na obiad, a zakazawszy mu sprzedawać opału — więc on cynamonem i korzeniami palić kazał. Od zakochanego po uszy wyłudziła Agrypina tajemnicę z mieszkiem; potem dała mu rendez-vous, uśpiła go trunkiem, i wypròwszy mieszek, wszyła podobny. Zmyty haniebnie, wrócił Andolozya do brata, i wyłudził u niego ów kapelusz; ograbiwszy za jego pomocą najznakomitszych jubilerów, stawił się ze zdobytemi w ten sposób klejnotami, przebrany, przed królewną Agrypiną, obudził w niej chętkę nabycia najpiękniejszych, i gdy mu je ona z jego mieszka płaciła, nakrył głowę i, porwawszy ją z mieszkiem, uniósł w bezludną pustynię; gdy tu pod jabłonią piękną siedzieli, zapragnęła znużona jednego jabłka. Niebaczny Andolozya włożył jej na głowę kapelusz i poszedł rwać

jabłka. Królewna, ani wiedząca o mocy kapelusza, pomyślała mimowoli: o, gdybym-że to teraz była w mej sypialni, — a kapelusz przeniósł ją natychmiast, tak, że się jej ta dwukrotna podróż napowietrzna snem widziała; zrzuciła też kapelusz, nie podejrzewając mocy jego. Zrozpaczony Andolozya przystanął pod jakąś jabłonią, a gdy jej owocu skosztował, urosły mu rogi kozie i nie mógł się ich pozbyć. Na krzyk i płacz jego nadszedł pustelnik, pouczył go o właściwości innego drzewa, którego jabłka rogi znowu spędzały, i wyprowadził go na drogę. Andolozya, narwawszy jabłek jednych i drugich, dostał się w końcu do Londynu i, znowu przebrany, sprzedawał je pod kościołem, do którego Agrypina chadzała, lecz dla znacznej ceny tych jabłek „damasceńskich", kupiła je tylko królewna, i po spożyciu zobaczyła szpetną koafiurę na głowie, która ją widoku ludzkiego starannie unikać zmusiła. Lekarze pomódz nie umieli; nastręczył się więc w nowem przebraniu Andolozya jako lekarz, i tak sprytnie się urządził, że z kapeluszem, znalezionym pod łóżkiem i z mieszkiem ponownie Agrypinę na puszczę uniósł. Tu odkrył kim jest, lecz, człowiek rycerski, nie znieważył kobiety, oszpeconej rogami, i na własne jej życzenie przeniósł ją do klasztoru. Na życzenie znowu króla cypryjskiego, który syna swego za Agrypinę chciał wyswatać, sprowadził Andolozya uzdrowioną do Londynu, a potem do Famagusty; lecz dzielnością i dostatkami swemi wzniecił Andolozya na dworze królewskim z okazyi owego wesela zazdrość i nienawiść dwóch hrabiów; powracającego napadli oni w zasadzce, sługi pozabijali, a jego na wysepkę pod ścisłą straż oddali; i zaginęła wszelka wieść o Andolozyi.

Ampedo, widząc, jakie nieszczęścia owe klejnoty sprowadzają, spalił kapelusz, a stęskniony za bratem, zapadł w ciężką niemoc i umarł. Na Andolozyi tymczasem wymęczyli hrabiowie wyznanie, skąd ma dostatki; przekonawszy się o wartości mieszka, umówili się obaj, aby każdemu z nich przez pół roku służył, lecz dla większego bezpieczeństwa, kazali niebaczni Andolozyę udusić. I właśnie oddawał hr. Teodor mieszek przyjacielowi, wedle umowy; lecz mieszek, po zejściu Ampedy i Andolozyi, cudowność wszelką utracił; nie chciał temu wierzyć przyjaciel, twierdził, że go Teodor oszukał; stąd przyszło do kłótni, bójki i ciężkich ran, a na wieść o tem kazał król obu sprowadzić i badać o przyczynę nagłej waśni krwawej dwóch najserdeczniejszych. Na mękach wyznali prawdę; wpleciono ich na koło. a pomocników i ukrywaczy występku wywieszano; dobra synów Fortunatowych spadły na króla.

Jest więc Fortunat najpospolitszą bajeczką z nieskończonego rzędu opowiadań o Szczęśliwcu, któremu Pan Jezus podarował ów „obrus, rozłóż się" i ową „owcę, trząśnij się", a karczmarz powymie-

niał mu jedno i drugie, lecz pod grozą trzeciego „kija, stój", oddał je napowrót; tylko miejsce chciwości zajęła zdrada i obłuda niewieścia, a zasadniczą bezimienność bajki zastąpiono nazwami osobowemi i miejscowemi, z pretensyą o dokładność, jak owa wzmianka o Drakule (Dyable) wojewodzie (hospodarze) mołdawskim, którego Fortunat odwiedził; dalej rozepchano bajkę niepotrzebnemi osobami, miejscowościami i anegdotami, i dopowiedziano smutny koniec darów i obdarzonych, nie istniejący nigdy dla bajek. „Fortunat" wyszedł najpierw w roku 1480 po niemiecku, i pewnie Niemiec nie wiele wcześniej go ułożył; popularność zdobył nadzwyczajną, nawet między Żydami, którzy przetłómaczonego żargonem chciwie czytali; księgarz frankfurcki spieniężył na jednym jarmarku (w roku 1569) 196 egzemplarzy niemieckiego „Fortunata". Są liczne przeróbki, epickie i dramatyczne, dawne i nowe; może nawet komedyanci niemieccy na dworze Zygmunta III przedstawiali „Fortunata"; w literaturze polskiej mniej mu się poszczęściło, na Ruś się wcale nie przedostał, chociaż nawet u poblizkich Węgrów miał znaczne powodzenie, jako najdosadniejsza ilustracya owego (i węgierskiego) przysłowia: lepszy łut szczęścia, niż funt rozumu; Fortunatowi, to jest Szczęsnemu, w przykrych przejściach nieraz inaczej się wydaje, a na synach jego mści się zawistna fortuna.

W bajkach naszych pełno reminiscencyi o Fortunacie; wymieńmyż choćby jedną, zapisaną przez p. Ciszewskiego ze Smordzowic, o trzech braciach, od których królewna „wycyganiła" cudowne przedmioty, za co jej rogi wyrastają; początek jej wprawdzie odmienny, i przedmioty cudowne już inne, lecz w dalszym ciągu zgoda dosłowna, naprzykład „ocygaiony" brat narwał owych jabłek i udał się z niemi do miasta, trafił właśnie na odpust i zaczął sprzedawać te jabłka, a wtem przechodzi ta królewna i t. d. Najistotniejsza część Fortunata istniała dawno przed nim w tak zwanych Dziejach, czy Historyach Rzymskich.

Zasilały się dalej powieści ludowe i nowelami włoskiemi, zaczerpniętemi wprost, lub pośrednio z najpiękniejszego i niewyczerpanego ich skarbca, z Dekamerona. Prym dzierży między niemi (ostatnia z rzędu) nowela o Gryzeldzie, lub Gryzeli, chociaż nie z oryginału Boccaciowego, lecz z łacińskiej redakcyi Petrarki po świecie się rozeszła, i Petrarki nazwisko zastąpiono Filipem z Bergamo, który do księgi swej o sławnych i wybranych kobietach tekst Petrarki włączył.

„Historya znamienita, wszytkim cnym paniom na przykład pokory, posłuszeństwa i cichości wydana o Gryzelli salmskiej Xiężnie w ziemi włoskiej" miała i w Polsce znaczne powodzenie; opowiedział

ją w prozie i stworzył najdawniejszy przykład nowelli polskiej, Jarosz Morsztyn, przenosząc widowisko na Szląsk, do Oświęcimia, nad Wisłę; wierszami odtworzył ją Głoskowski w roku 1641, lecz już w XVI wieku mieliśmy jej dwa przekłady, prozą jeden, a wierszem drugi.

Historya zaczyna się opisem pięknego położenia włoskiej ziemicy Saluzzo, gdzie margrabia Walter panował, żyjąc wesoło, zabawiając się łowami, bezżenny. Rada jego przedstawia mu potrzebę, pożytek i przyjemności bogobojnego stanu małżeńskiego; w przekładzie polskim materyę tę aż na dziesięciu stronicach samoistnie rozprowadzono, czerpiąc zewsząd argumenty: im więcej dzieci, tem więcej bogomodlców za ciebie będzie, o panie; umrzesz-li bezdzietny, nabierze (dziedzictwa) „niepili“ (niekrewny), który na to nie pracował, jeszcze się z ciebie śmiać będzie „gamratując, abo kostki igrając“; z żoną „cię czczyca (tęsknota) nie będzie“, dzieci będą cię zwały „nannem lubo tatą“; toć tylko apostołom Pan nakazał, aby byli wolni od żony i od wszelakich „obwiązieli cześnych“. Usłuchał więc Walter rady wymownej i zawarował sobie tylko, że z równą zawsze czcią przyjmą, kogokolwiek on wybierze. A wybrał on był oddawna w blizkości Gryzeldę, córkę ubogiego kmiotka, Janikuły, którą, bawiąc się łowami, zauważył. Więc ku ogólnemu zdziwieniu, rodziców o jej rękę poprosił, i piękna a cnotliwa Gryzelda wypełniała niebawem nowe obowiązki, jakby się królewną urodziła. Lecz margrabia zażądał był od niej, jeszcze przed weselem, posłuszeństwa, żeby się zawsze jego woli poddawała, co ona mu ślubiła, by nawet od niej i jej śmierci wymagał. I przyszedł niebawem czas, że margrabia uległość Gryzeli wystawiał na próby, coraz sroższe i nielitościwsze. Odebrał jej najpierw dzieci i pozostawił ją w mniemaniu, że je na śmierć wydał; potem, uzasadniając wszystko niezadowoleniem poddanych z nierównych ślubów, oddalił ją z dworu, chcąc nowe zawrzeć śluby; wróciła więc Gryzelda do stanu kmiotówny bez szemrania, do dawnych sukien i zajęć chłopskich. Posłał tymczasem Walter po dorastającą już córkę, i przedstawił ją Gryzeldzie jako narzeczoną, i kazał jej służyć i pytał, jakby się podobała: Gryzelda wybór pochwaliła i tylko prosiła, aby narzeczonej nie wystawiał na próby pierwszej małżonki, gdyż trudno, żeby i ta, inaczej zrodzona, z tąż pokorą i cierpliwością je znosiła. Teraz dopiero odkrył Walter Gryzeldzie, że były to tylko próby, które charakter jej, szczerszy nad złoto, wykazały, i wróciła Gryzelda z ojcem ku ogólnej pociesze na dawne stanowisko, i żyli szczęśliwie żona pokorna i mąż tyran.

Nieludzkie to opowiadanie obstawił Boccacio historycznemi niby nazwami, tak, że późniejsi nawet i datę (rok 1025) dorobić mogli;

mimo to jest to tylko bajka, krążąca we Włoszech oddawna—znał ją Petrarka przed Dekameronem — lecz pozbawiona cech bajecznych (naprzykład dzieci zabito rzeczywiście i one cudem odżyły i t. d.), przeniesiona w sferę rzeczywistości pozornej. Stopniowaniem prób swych tworzy ta bajka parę z inną średniowieczną, o Aniku i Ameliusie, czy jak tam ich nazywają, gdzie przyjaźń, jej stałość i poświęcenie, wystawione na jeszcze cięższe próby, niż tu uległość małżeńska, i w końcu równie cudownie wynagrodzone.

„Gryzelę“ opracowywano często, począwszy od owej łacińskiej przeróbki Petrarki, którą i po polskich rękopisach (łacińskich XV wieku) znachodzimy, i od Anglika Chancera, przez Hans Sachsa, aż do „poematu dramatycznego“ Halma; szerzyła się nowela i między ludem samym; nietylko we Włoszech, lecz nawet w Rosyi ją z ust do ust ludu zapisywano: król pojął pasterkę i zagroził jej, że jej głowa z szyi zleci, skoro-by się mu sprzeciwić ważyła: zasługa więc ruskiej Gryzeli mniejsza, lecz za to uległość jej mniej wstrętna; słusznie też Halm własną „Gryzelę“ tragicznie zakończył: wytrwawszy próby najsroższe, Gryzelda do męża więcej nie wróciła; miłość pękła.

Z polskich przeróbek owa wierszem z roku 1571 najnieudolniejsza; rymopis, w rodzaju Goliana, nie mogąc dla słabości z pokoiczku wychodzić w pole, trudzi się czytaniem rzeczy polskich i niemieckich, i wybiera formę wierszową, „ponieważ wdzięczniejsze jest czytanie rymami“; chociaż dotąd ńigdy, ani w szkole „k'temu brzegu się nie miał“, dziwi się, dla czego tak cnej pani takie niecne imię się dostało. przypuszczając, że Gryzela od gryzienia nazwana. On popsuł tylko w pogoni za nędznemi rymami piękny tok prozy polskiej niewiadomego tłómacza z przed roku 1571, który jednak nie był prostym tłómaczem niemieckiego tekstu, lecz dowolnie go rozszerzał, i na końcu czytelnika o znaczeniu i celu tej „prawdziwej“ powieści pouczał.

Tłómaczenie wierszowane jeszcze obszerniejsze, niż prozaiczne, liczy około 2,500 długich wierszów, nikczemnych, jak je autor sam słusznie nazwał, pocieszający się napróżno przypowieścią: „kto źle nigdy nie pisze, dobrze też nie będzie nigdy pisał“, która się chyba na nim nie sprawdziła. Mowa „czelniejszego“ z panów o pożytkach małżeństwa ciągnie się przez dwadzieścia kilka stronic; ponieważ zaś polskie zwyczaje wymagały nowej mowy przy oddawaniu do łożnicy, więc „jeden z rad“ występuje z nowem zalecaniem małżonki, ale że o niej dla podłego rodu nie było co wiele prawić, więc na małżeństwo rzecz skierował, i przez pięć stronic je wychwalał. Kończy wierszykiem nieprawdziwym:

Tu już tej historyi krótki koniec macie,
Po pracy napił bych się, jeśli mi co dacie...

i dodaje jeszcze admonicyę do białych głów, tak odmiennych, niestety, od Gryzeli:

By jej mąż palcem dotknął, to już tam wnet trwoga,
Oto się nie da błagać, by padł przed nią krzyżem,
Będzie się nadymała, by sowa swym pierzem
i t. d.

Bardzo pobożny autor kończy lichą ramotę pieśnią do Zbawiciela; język (brutka i t. p.) i pisownia ujawniają autora i drukarza Prusaków, koło Gdańska i z Gdańska samego. Z unikatu (kórnickiego) mogliśmy znowu za łaskawą uprzejmością dyrektora Celichowskiego korzystać.

Z „Gryzeldą", pieśnią, tryumfującą uległości żeńskiej, chodzi nieraz pospołu inna nowela Boccacia, pieśń miłości tryumfującej, o Gismundzie i Gwiskardzie; nadmieniamy o niej krótko, gdyż powieścią ludową na polskim gruncie nie została, i znamy tylko jej przeróbkę wierszem w rękopisie pod tytułem: „Amores Ismondae et Guiscardi" [1]):

W żyźnem Salernie Tankred panował bogaty,
Cnót wielkich, dojrzałemi już obciążon laty,
Trzykroć błogosławiony, czterykroć szczęśliwy,
Kiedy-by na własną krew nie był ukwapliwy.
Bo gdy w domu swym córkę miał tylko jedyną
i t. d.

---

[1]) Nie wiemy, czy to ta sama „Izmonda", którą w roku 1587 wierszem wydał p. Andrzej Dębowski, lubujący się w wierszowaniu nowel starorzymskich i włoskich.

Pięknej Gizmondy, wcześnie owdowiałej, ojciec na nowo nie swatał; serce pięknej pani zwróciło się ku celującemu nie rodem, lecz urodą, Gwiskardowi, znalazło wzajemność, i kochankowie używali szczęścia, aż przypadkiem sam Tankred tajemnicę ich odkrył. Kazawszy pojmać Gwiskarda, robił córce wyrzuty srogie -- śmiała i szczera jej mowa obronna, to szczyt tej noweli — poczem kochanka zabić, serce mu wyjąć i w złotej czarze jej doręczyć kazał. Dumna Gizmonda przyjęła je jako dar najkosztowniejszy, i oblawszy je łzami, otruła się; i ojca niebawem ciężki żal zapóźny ze świata sprowadził. W innych podobnych a licznych powieściach, naprzykład starofrancuskich, panna spożywa serce kochanka i oświadcza, że po tak szlachetnym kąsku żaden inny w usta jej nie wejdzie więcej, i dotrzymuje słowa.

Wierność małżeńską w innej noweli Dekamerona uświetnia opowiadacz niezrówmany, która szerzej się w Polsce rozeszła, a z Polski i na Ruś powędrowała, mimo zakazu, jakim arcyniewinną w gruncie ferwor biskupi napiętnował. Jest to „Historya bardzo piękna o Barnabaszu, jako się ten zacny kupiec z drugim kupcem na cnotę żony swojej założył o zakład niemały, wszystkim cnym paniom ku pociesze i przestrodze“ (Kraków, w roku 1615; ruski przepis z roku 1677, „Powiest' utiesznaja o kupcie itd.)“ —zamieszczona na indeksie w roku 1618. Wydawca, mieszczanin krakowski, wyznaje, że historya ta

już dawno przed tym na świat była wyszła [1])
Jednak iż jej już w kramiech i znaku nie stało,
Wydać mi ją zaś na świat teraz świeżo zdało.

W Paryżu, którego wysławianiem wcale niezły wiersz, przypominający fakturą „Historyę w Londzie“, z roku 1568, się zaczyna, założył się Barnabasz z Genui (Genewy!) z Ambrożym z Placencyej o cnotę żony:

dali ręce sobie
Podali onym drugim, by rozcięli obie.

---

[1]) W roku 1583.

wszelkie jednak zakusy Ambrożego rozbiły się o stałość żony, i tylko zdradą i podejściem wywiedział się Ambroży o sprzętach w sypialni i o znaku na jej ciele; przekonał tak oszczerca męża o mniemanej niewierności żony, i zakład wygrał. Barnabasz kazał żonę zabić, lecz sługa darował ją życiem; przebrana za mężczyznę, dostała się do Aleksandryi, tu wyrobiła sobie fawor sułtański i korzystną pozycyę; tutaj też przypadkiem odkryła Ambrożego i jego niecnotę, i sprowadziwszy Barnabasza, przed sułtanem do zeznania całej prawdy zmusiła, poczem go śmiercią ukarano. Nowellę tę transponował sam Boccacio ze sfer rycerskich źródła francuskiego w sfery kupieckie.

Inne nowelle z Dekameronu i innych pisarzy, Hans Sachsa naprzykład, znachodziły również opracowania, wierszem, lub prozą; naprzykład powieść o Berytoli (znana dziś tylko z inwentarza księgarskiego z roku 1591), z Dekameronu, opowiada legiendę o Eustachym-Placydzie, przeniesioną do Sycylii i na wiek XIII: Berytola, od męża odłączona, traci i dzieci; po latach i niebezpiecznych przejściach, — z których jedno na „Gismondę i Gwiskarda“ zakrawało, — szczęśliwie się wszyscy odnaleźli; albo powieść o Euryalu i Lukrecyi, którą Krzysztof Golian z oryginału Eneasza Sylwiusza (papieża Piusa II) lichym wierszem przerobił, jest to drastyczne a ślizkie opowiadanie z roku 1444 o wolnej miłości kanclerza Szlika i włoskiej mężatki w Syenie z roku 1431, słynne na całą Europę, godne ziomka Bocacciowego, lecz papieżowi niemiłe. Powieści te nie rozeszły się jednak zbyt szeroko, nie weszły w lud, chociaż naprzykład oryginał łaciński wraz z listami Sylwiusza już od połowy XV wieku w Polsce się znajdował.

Z literatury pobratymczej, czeskiej, nadawały się wybornie do powieści ludowej obie kroniki o Sztylfrydzie i Bruncwiku (właściwie może o jednym bohaterze, rozdzielonym z czasem na dwie osoby), jak oni zamiast kotła Czechom swym ukochanym, ojciec orła, a syn lwa, do herbu zdobyli, po turniejach i wyprawach zamorskich (na skałę magnesową i na smoka niezwalczonego) sławę czeską szerząc; Bruncwik wraca cudownym, napowietrznym lotem do Pragi, gdy żona właśnie w nowe śluby wstępuje, z wiernym lwem i z mieczem, ścigającym, co się nawinie. Jest to tradycya niemiecka, która się rychło w Czechach przyjęła, co wobec ścisłych związków czeskoniemieckich zadziwiać nie może, i nadzwyczajnej popularności zażywała; przedostała się ona od Czechów do Słowaków, Madiarów, Niemców samych, a w końcu i na Ruś moskiewską, gdzie „Istorija o sławnom korolewicze (Bruncwikie) czeskoj ziemli“ już w XVII-tym wieku popłacała.

W Polsce odnalazłem ją dotąd jedynie na Szląsku, gdzie ją Nowacki przełożył i wydawał szląską polszczyzną, z piestrzeniem, zamiast pierścieniem, i wyciepowaniem, zamiast wyrzucaniem, z drakiem — smokiem i innymi czechizmami; wydanie (roku 1846 w Mikołowie) zaopatrzył on na domiar alegoryą o sądzie strasznym, z „Historyi Rzymskich" wyjętą; zresztą, odbiega nieco jego tekst Bruncwika od znanych mi, czeskich.

IV.

Wymienione pewieści i nowelle, francuskie, niemieckie i włoskie, opiewały średniowieczną rycerskość, sentymenta, bajki średniowieczne (prócz romansów nowszych)—rywalizowały z niemi jednak oddawna powieści całkiem innego rodowodu, bo starożytne.

Czoło ich zajęła „Aleksandreida," najsłynniejsza powieść całego świata. Mówić o Aleksandreidzie, to znaczy tyle, co poruszyć historyę wszystkich literatur, od greckiej począwszy; wystarczy przypomnieć, że najlepsza epopeja średniowieczna, to Aleksandreida Waltera Chatillons, a najwcześniejszy i najpiękniejszy wiersz, na jaki wszystkie dawne literatury słowiańskie się zdobyły, to dzielna czeska owego Waltera przeróbka. Musimy się więc, wobec tego nadmiaru dzieł i opracowań, ograniczyć do rzeczy polskich, tem bardziej, że polskie Aleksandreidy nawet na Ruś nie przeszły; tu miano bowiem od wieków własne Aleksandreidy, które w cerkiewnym języku z południa w dwóch odmiennych redakcyach przybyły.

Polacy nie mają już wierszowanych Aleksandreid średniowiecznych, posiadają tylko dwojakie tłómaczenie słynnej prozy łacińskiej (Aleksandra de proeliis, o bojowaniu), przepisywanej i drukowanej niezliczone razy. Tłómaczenie rękopiśmienne, r. 1510, z biblioteki wileńskiej Zygmunta Starego, dziś u Zamoyskich przechowywane, arcy niezdarne, powtarza niewolniczo, bez sensu, bez myśli, oryginał łaciński (tj. dawne dosyć tłómaczenie z greckiego). Od lichoty niezdarnej tego tłómaczenia odbija dobry wcale przekład (chociaż i ten miejscami nie bez usterek), który Helena Florianowa (wdowa po Unglerze) w swej drukarni krakowskiej r. 1550 wydała i Annie Tęczyńskiej przypisała p. t. „Historya o żywocie i znamienitych sprawach Aleksandra W., króla macedońskiego," która w sobie wiele cudnych

przykładów zamyka, każdemu rycerskiego stanu człowieku ku czytaniu użyteczna; wydanie to (bez dedykacyi) przebijano ciągle, sami mieliśmy w rękach np. wydanie z r. 1628, 1701, 1766 itd., nie licząc fragmentów. Nadmieniamy tylko, że tradycya z początku naszego wieku, przechowana u p. Em. Murray, o jakimś polskim „poemacie tragicznym“ o Aleksandrze W., mimo całej niejasności odnosi się chyba tylko do wydania Unglerowej (dwa egzemplarze druku takiego miała posiadać biblioteka jagiellońska,—czy nie ocalał dziś jeden z nich, prześlicznie zachowany, w zbiorach Zamoyskich, ofiarowany ordynatowi przez lokaja?

Największy bohater świata, tj., ten którego najgęściej tradycye oplotły, poganom i chrześcianom, żydom i muzułmanon, Azyi i Europie równie był znany i ulubiony. Fantazyę najbujniejszą podniecały i zaspokajały opisy niesłychanych dziwów ludzkich i zwierzęcych, na lądzie i morzu, jakie Macedończyk oglądał, pobijał, lub zamykał tam, skąd się dopiero przy końcu świata wydostaną; rozum i dowcip bawiły listy, o treści nieraz bardzo głębokiej, np. w korespondencyi z bragmanami, gdzie na kilkanaście set lat przed Russem powrót do natury, życie skromne i mierne przed każdem innem wystawiano; dla listów tych delektował się już nasz mistrz Wincenty w dwunastym wieku tym romansem i sam nowe na zaszczyt własnego ludu dokomponował [1]); na uczucie wreszcie działały rycerskość, wspaniałomyślność, szczodrość królewska Aleksandra, lecz przedewszystkiem ów kontrast niesłychanej potęgi światowej, obróconej w niwecz przez jedną noc, ten, dla którego wczoraj cały świat był za mały, który wyżyny niebieskie i otchłanie morskie przemierzał, zadawala się dziś kilku łokciami ziemi; ten, na którego nazwisko wczoraj jeszcze ludy truchlały, dziś już tylko marą, o którą nikt nie dba—taka illustracya doraźna owego vanitas vanitatum najwybredniejszego moralistę i ascetę średniowiecznego zadawalać musiała. Ujął też Aleksander, chociaż poganin i wielobożnik, samych żydów i chrześcian tem, że kapłana najwyższego kornie uczcił i imieniu Boskiemu winną chwałę oddał. Łączył więc w sobie Aleksander ideał rycerza, któremu strach

---

[1]) Napróżno szukano oryginału łacińskiego, który-by mieścił listy, przytoczone przez Wincentego, a wymieniane niby między Polakami i Aleksandrem. Wincenty miał przed sobą tylko ową powieść „De proeliis“, którą i my mamy, i wzbogacił ją własnym wymysłem; podobne, nie fałszerstwo, lecz raczej niewinne dokomponowanie brakującego materyału, odznacza nieraz jego metodę w przedstawianiu początków polskich.

34

obcy, który nieprzyjaciela we własnym gmachu nawiedzi, przykładem swym wszystkich za sobą porwie, i króla, szczodrego, wspaniałomyślnego, ufnego, przystępnego—nie dziw też, że fantazyę ludów licznych i długich wieków osobą i losami swemi tak bardzo zaprzątnął.

Co romans z dziejów opowiada pomijamy; z wymysłów najważniejszy, a schlebiający próżności Egipcyan, znachodzimy na początku: Aleksander, to nie syn Filipa, lecz króla egipskiego, Anaktanaba, gwieździarza, który, przed wrogiem uchodząc, Olimpię, w nieobecności Filipa, pod postacią bożka omamił. W chwili narodzin drżała ziemia; włosy na głowie dziecięcia jakoby lwie rozmaicie nakrapiane, oczy jego jako gwiazdy jasne, ale barwy różnej, jedno czarne, drugie żółte się okazywały. Zabił zaś Aleksander Anektanaba, gdyż mu się zbrodnią zdało, że ten o niebieskich rzeczach prawił, a ziemskich nie rozumiał, chociaż mu Anektanab słusznie o sobie przepowiedział, że od własnego syna ma zginąć.

Pomijamy opowiadania z lat późniejszych, o odmówieniu dani Daryuszowi (kokosz, która złote jaja niosła, stała się niepłodną, kazał mu Aleksander oświadczyć); o przechwałkach Daryusza przesyłającego to zabawki dziecięce Aleksandrowi, to korzec maku na znak ilości wojska własnego (Aleksander piłkę itd. na berło wytłómaczył, a mały mak ziarnem pieprzu oddał) itd.; ulubiony niegdyś motyw o znaczeniu kamieni i złota, po których się na tron Cyrusa wstępowało, wykład alegoryczny i pseudomedyczny zarazem.

Dalej epizod o Amazonkach, które na wezwanie o czynsz tryb życia swego opisują; dalej z niesłychanemi potworami i zwierzętami walczyć przychodziło: same trzciny były jak sosny na sześćdziesiąt stóp wysokie, myszy większe niż krety, nietoperze, jak gołębie, co nosy i uszy odkąsywały, lwy białe, dziki z łokciowemi kłami, leśni mężowie o sześciu rękach, kobiety z gołemi głowami i brodami po pas itd. Najciekawszy ustęp, to wspomniana korespondencya między Aleksandrem a Dydymem królem „bragmańskim“—niby Nipu Doświadczyńskiego i podobne utopie, o ludziach, depczących złotem, bez występków i sądów, bez chorób i leków, wegetaryanach, odzianych w liście, bez domów i niewolników, bez gry i kupiectwa, natrząsających się z wielobóstwa, którym jeden Bóg niebieski panuje, Bóg słowa, a z tego słowa wszystkie rzeczy trwają. Aleksander szydzi z nich i gani prostotę tych, którzy, lepszego bytu nie znając, swój chcąc nie chcąc wychwalają; lecz argumenta po stronie bragmańskiej więcej nas przekonywają.

U Brahmanów rozstajemy się z światem przyrodzonym; następują coraz większe dziwy: drzewa, które wschodziły z ziemi razem

ze słońcem i z niem w ziemi się kryły, wydawszy owoc szlachetny, a ktoby ich liście obrywał, nagłą śmiercią ginął; góra „adamantynowa“ z wieszczącemi drzewami słońca i miesiąca (w greckim i indyjskim języku); feniks, bazyliszek, którego sam Aleksander zwierciadłem poraził itd. Dwudziestu czterech królów z plugawemi ich ludami zamknął on w górach do skończenia świata (na jego prośbę do Boga zstąpiły się te góry); potem Gryfami dał się wznieść pod obłoki, tak wysoko, że cały krąg ziemski wydawał się „jakoby gumno, na którem zboże młócą“, a morze jakoby smok w około zwity—lecz zaćmił Bóg gryfów, że zamiast wyżej się wznosić spuszczały się; lepiej zmierzy Aleksander głębokości morskie w szklanem naczyniu, lecz nikomu nie opowiadał, co za dziwy na dnie widział, aby go o przesadę nie posądzono.

Zbliżał się jednak naznaczony od dawna kres dni żywota jego i wiedział od wieszczków i wyroczni Aleksander śmierć przedwczesną i sarkał, że nie będzie mógł wykonać wielkich rzeczy, jakie zamyślił; dziwopłód, co kobieta na świat wydała w Babilonii, stolicy Aleksandrowej, wytłómaczono mu, jako oznakę własnego zgonu, a niemocy następnych królów. I otruł Antypater Aleksandra, przez syna swego i przez sługę zaufanego, którego raz Aleksander bez jego winy uderzył. Testament, opis wyglądu, pogrzeb, refleksye filozofów nad grobem, wyliczanie miast założonych kończą „romans“.

Opuszczaliśmy epizody np. o gałęziach, które żołnierze przed sobą nosili, że zdawało się, jakoby las się ruszał (tak i w Makbecie); o stawieniu się Aleksandra samego w osobie posła przed Daryuszem, jak hardo sobie poczynał, a przy wieczerzy w zanadrze złote kubki sprzątał, gdzie niby to u Aleksandra taki obyczaj się zachowuje i godujący zabierają kubki do woli, co się panom perskim wcale podobało itd. Przykłady niektóre wydają się bajkami skróconemi.

Tak różnorakiemi fantazyami oplótł wschód Macedończyka cóż dziwnego, że nie zrównały z niemi żadne inne, że ani podróże fantastyczne (np. Maundewila), ani bajeczne opisy państwa „popa Jana,“ ani sprawy rycerskie Godfredów nie wyrugowały ani nie zastąpiły w pamięci ludowej spraw i żywota Aleksandra-Iskandera, że kazał nasz mistrz Wincenty walczyć naszym Lestkom z argiraspidami jego, że okruchy tradycyi nawet na zachodzie, u naszego ludu, do dzisiaj przetrwały, mimo wieków i przestrzeni, jakie nas od kolebki tych powieści oddalają.

Z podań starożytnych mogła-by „Wojna Trojańska“ z „Aleksandrem“ rywalizować, lecz polska „Historya bardzo piękna, uciesz-

na—o zburzeniu miasta Trojańskiego“ popularności żadnej nie zdobyła. Autor jej, a raczej tłómacz, obrał bowiem tekst, dokładny i treściwy, lecz nie wzbudzający żywszego zajęcia; traktował rzecz tę sucho i pedantycznie, jako historyę prawdziwą, pełną morałów i przestróg i usunął element fantastyczny, rycerski, zupełnie; to już nie historya bogów i półbogów, ale zwykła akcya polityczna, rozgrywająca się tylko o kawałek gliny (Helenę) zamiast o kawałek ziemi. Gdybyż on był wziął za przewodnika średniowiecznego opowiadacza, Gwidona z Kolumny, to byłby może zajął więcej czytelników, tak zaś historya jego bawiła tylko żaka i ludzi, pragnących kształcenia; jest też wcale dodatnią wskazówką cywilizacyi naszego XVI wieku, że i niepopularna, pragmatyczna ta historya rozeszła się co najmniej w trzech wydaniach; na to zaś zasługiwała najzupełniej, dla staranności dykcyi, jasności wykładu, dla pracy, którą zadał sobie tłómacz, więcej niż jakikolwiek inny tegoż cechu; XVII wiek o tej historyi już zapomniał zupełnie; na Ruś ona również nie przeszła, gdzie w razie potrzeby własna „pritcza o kralech“ się znachodziła.

Lecz, zarzucił-by kto, „Aleksander“ i „Wojna Trojańska“, toć nie powieści, a dzieje, istotne czy mniemane. Otóż jest starogreckiego romansu właściwością, występować w szacie dziejowej, wydawać się za prawdziwe dopełnienie nieznanych dziejów, ich ludów i krajów; romans ten wypłynął z historyi, jak średniowieczny z podania. Mieszańca starogreckiego, który uprawnionego, stałego miejsca, w dawnym kodeksie estetycznym wcale się nie dobił, spłodziła z dziejami retoryka: styl wyszukany, czy w prostocie kunsztownej, wymuszonej, czy też w napuszonem, bombastycznem wydwarzaniu, pełnem kwiecistych ozdóbek, porównań, antytez przestarzałego, martwego napoły języka, cechuje nieliczne opisy, a niezliczone mowy, perory, morały tego romansu. Jeden tylko, najkrótszy i najpóźniejszy niemal z tych romansów, stał się ludowym istotnie, ale pojawia się u nas, jako część większej całości, więc go tu nie omawiamy osobno; wszystkie inne nie nadawały się dla stylu, obszerności, zagmatwania treści, między powieści ludowe, i moglibyśmy je śmiało pominąć, gdyby nie wzgląd, że zostawiły one mimo to znaczny ślad w dawnej powieści polskiej, chociaż nie ludowej. A mianowicie najsławniejsza, najpiękniejsza z nich, Etyopiki Heliodora, Syryjczyka z Emezy, utrwaliły się w literaturze naszej, występując w niej i same, i w ciekawych naśladowaniach, np. Wacława Potockiego.

Pyszny rękopis grecki z biblioteki Macieja Korwina uniósł lancknecht przy rozgromie budzińskim i niebawem wydano oryginał, który Stanisław Warszewicki, nim jeszcze jezuitą został, na łacinę

wyłożył; od 1552 aż do końca XVIII wydawano często ten przekład, jeden z nielicznych wkładów polskich do filozofii klasycznej. „Aethiopicae historiae libri X“ poświęcił Stanisław królowi własnemu, wychwalając w przedmowie obu Zygmuntów ludzkość i sprawiedliwość, miłość i cześć ogólną, jaką sobie w świecie zjednali; sam etyopski król (Hydaspes), o którym w romansie mowa, przypomina mu powagę Zygmunta Starego.

Z łacińskiego oryginału p. Stanisława poszły inne, np. niemieckie Zschorna w Sztrasburgu z 1559, później nieraz powtarzane; niemieckie przetłómaczono znowu na polskie; przytaczają obcy bibliografowie wydanie wileńskie z r. 1606, którego nikt dotąd nie odszukał, ale że się ci obcy nie bardzo mylą, dowodzi egzemplarz dzikowski książki p. t. „Historya bardzo ucieszna o Charykliey królewnie i Teagenesie“ z niemieckiego przetłómaczona, Kraków u Berlułowicza r. 1663, w oktawce. Unikat ten znam tylko z tytułu u p. Estreichera wypisanego, o samem tłómaczeniu nic więc powiedzieć nie umiem, powiem coś tylko o oryginale, gdyż Charyklia i t, d., to właśnie Etyopiki Heliodora. Będzie to pewnie najdawniejszy u nas romans prozą takiej obszerności, gdyż równa się niemal swą objętością żółtym tomom dzisiejszych romansów francuskich.

Treść możemy wyłożyć jak najkrócej. Persyna, królowa etyopska, zapatrzywszy się w obraz grecki, porodziła córkę płci białej i, bojąc się posądzeń, oddała ją z domu; ta, Charyklią zwana, poznała w Delfach Tesalczyka, szlachetnego Theagenesa; oboje zapłonęli gorącą miłością ku sobie i po najrozmaitszych przygodach, rozłączeniach, próbach, gdy już nawet na stosy ofiarne wchodzili, nastąpiło uznanie Charyklii przez rodziców i związek jej z Theagenesem. Heliodor napisał romans, jak Eneasz Sylwiusz Euryala, zanim (chrześcianinem? i) biskupem został, a wyrzuty, które później papież sam sobie czynił dla erotyka haniebnego, sformułował synod przeciw Heliodorowi, jak bajano, lecz niesłusznie, gdyż wobec cudzołóstwa, usławnionego w Euryalu, Etyopiki są szczytem moralności. Para kochająca się wychodzi czystą i niewinną na ciele i duszy z prób najtwardszych; bohaterem właściwym romansu jest—po raz pierwszy w świecie—o n a, wobec niej blednie Teagen zupełnie; zarazem wieje z romansu starogreckiego, pogańskiego, duch chrześciański zupełnego, skruszonego, ufnego zdania się na wolę najwyższą i miłości bliźniego, obcy butnemu egoizmowi heleńskiemu. Romans zapchany epizodami, opisami np. pochodów ofiarnych, wciąga nadto wiele osób, szafuje do zbytku sytuacyami najdziwniejszemi, z których bohater w końcu za-

wsze obronną ręką wychodzi; uprowadzania, szturmy na morzu i lądzie, przydługie opowiadania przygód własnych, cudowne poznanie się itd., piętrzą się jedne nad drugiemi, tak, że wszelkie wrażenie nie prawdopodobieństwa się zaciera. Mimo to podobał się romans szalenie, zachwycali się nim jeszcze Tasso i Rafael, brali z niego motywy do strof w Jerozolimie Wyzwolonej i do obrazów; inne jego motywy można śledzić np. w literaturze średniowiecznej, dokąd się nieznanemi kanałami przedostawały, chociaż i w nim samym odnajdujemy motywy obce, np. wydawanie się pary kochającej za rodzeństwo, —motyw z biblii dobrze znany.

Syloret Wacława Potockiego jest odbiciem Etyopik; spotykanie się w świątyniach, korsarze, zbójcy, uprowadzanie, trucizny, cudowne sygnety, sny, stosy, pojawiają się i tu, i tam; lecz Heliodor wykazuje tem samem większe misterstwo, że jego romans, jak Odyseja lub romanse Zoli, zaczyna się w samym środku; dopiero powoli dowiadujemy się z opowiadań własnych osób rozmaitych ich antecedencyi; początek sam już jest wielce efektownym: patrzymy wraz ze zbójcami w brzasku porannym na morze, czy nie nadpłynie jaka zdobycz i dostrzegamy z nimi na samym brzegu ślady krwawe wielkiej uczty, w bój śmiertelny zamienionej; widzimy Charyklęję, piastującą na łonie ciężko rannego Theagena itd. U Potockiego przeciwnie; cały romans rozwija się jakoby od samej kolebki i przesuwa się jeden fakt po drugim, w nużącym chronologicznym porządku, dzieje zawiłe trzech pokoleń—a mogło-by być ich i trzydzieści, z tem samem prawem, niby w nieskończonym Amadysie.

Lecz przekroczyliśmy granice szkicu naszego, opuszczając dziedzinę powieści i romansów ludowych, a wplatając rzecz o Sylorecie, która-by nas mimowoli zawiodła do innych podobnych, do Argienidy i Banialuki, do Paskwaliny i Peropidy i innych bohaterek romansów i nowel wierszowanych, Potockiego, Morsztyna (Jarosza, ale też Psyche Andrzeja tu należy), Twardowskiego, Korczyńskiego, Szemiota i innych oryginalnych i przekładanych, udatnych i nudnych.

Wracając do naszej dziedziny, możemy teraz, przekonawszy się o jej rozmiarach i zasobach, i na tem polu stwierdzić młodszość naszej cywilizacyi, pozostawanie w tyle za oświeconym zachodem. Choć niejedna rzecz całkiem a jeszcze więcej dawnych wydań bezpowrotnie zaginęło, mimo to, porównywając stosunki nasze a zachodnie, widzimy najpierw, że na naszej ziemi nic się nie zrodziło, że oryginalnego

nic nie stworzyliśmy, że nie zgęściły się ani zespoliły nawet opowiadania, czy podania, krążące, czy o Koszyrskim, czy o Reju, czy o Stańczyku, czy o Twardowskim, czy o Osieku lub Pacanowie, w jakąśkolwiek całość, która-by choć z Sowizdrzałem, Faustem, Fortunatem i Schiltbürgerami mierzyć się mogła—cóż dopiero mówić o innych romansach. Z opieszałością i gnusnością iście słowiańską zadawalano się choć obcem, za to gotowem—nasza praca umysłowa szczuplała do tłómaczeń nieraz dosyć mechanicznych.

Nawet i te obce zasoby przenaszano do nas późno—nieraz o cały wiek później, i nie w zbytniej ilości. Szerzono każdą powieść samą dla siebie—o skupieniu ich w większym zbiorze, jak w niemieckiem Buch der Liebe, nikt u nas ani razu nie pomyślał. Trzymano się rzeczy krótkich, więc Amadys, za którym tak przepadali czuli i ciekawi czytelnicy w Hiszpanii, Włoszech, Francyi i Niemczech, już dla rozmiarów swych odstraszał był Polaka, „tęskniącego“ sobie w czytaniu, jak i Rej, i inni poświadczają. Dla Amadysa można-by wprawdzie nadmienić, jako okoliczność łagodząca, że jego romantyzm nieromantycznej Polsce byłby obcy, niezrozumiały, więc i wstrętny—ale faktu pewnego lenistwa umysłowego, nienawyknięcia warstw szerokich do potrzeby karmi umysłowej, braku czytających nie usuniemy.

Więc bierna wtedy Polska zadłuża się i na tem polu, a właśnie na tem więcej, niż na którem innem—u Zachodu; zasługa jej ogranicza się przyjmowaniem i przyswajaniem produktów zachodnich a szerzeniem ich na wschód: tylko odpadkami i tak już niebogatego stołu polskiego karmi się belletrystyka ruska w XVII wieku, jeszcze późniejsza o półtora wieku — i jeszcze uboższa. W tym samym wieku zeszły na zachodzie „Meluzyna“, „Magielona“ i t. p. do lektury dla dzieci i ludu; dorosły a piśmienny wymagał już zupełnie czego innego, romansów obszernych, historycznych i pasterskich, sentymentalnych i politycznych, alegorycznych i awanturniczych, jak Argienida, Telemak, Żil Blas, Simplicissimus, Asiatische Banise — nie mówiąc o nieskończonych tomach francuskich i włoskich Kassandr, Dionej, Silwij, Klélij, Koloandrów itd., itd., a dla tych „romanii“ — tak je wtedy i St. H. Lubomirski nazywa—nie było u nas jeszcze tłómaczy, a więc i czytelników, zjawili się oni u nas znowu dopiero po niewczasie, gdy smak publiczności zachodniej dawno się od nich odchylił, w pierwszej połowie XVIII wieku dopiero.

Jeśli więc napięcie umysłowości naszej na tem polu było najsłabsze, mimo to nierozerwalności związku naszego z zachodem do-

wodzą nawet i te niepokaźne a tak rzadkie książeczki, które pierwsze próby powieści zachodniej do nas przenosiły, i tem samem u kolebki romansu polskiego na miejsce i wyróżnienie zasługują. Uwadze i opiece miłośników naszych rzeczy dawnych polecamy jak najgoręcej te szare i blade przekłady, któremi się niegdyś fantazya całych pokoleń licznych odżywiała niemal wyłącznie.

A. Brückner.